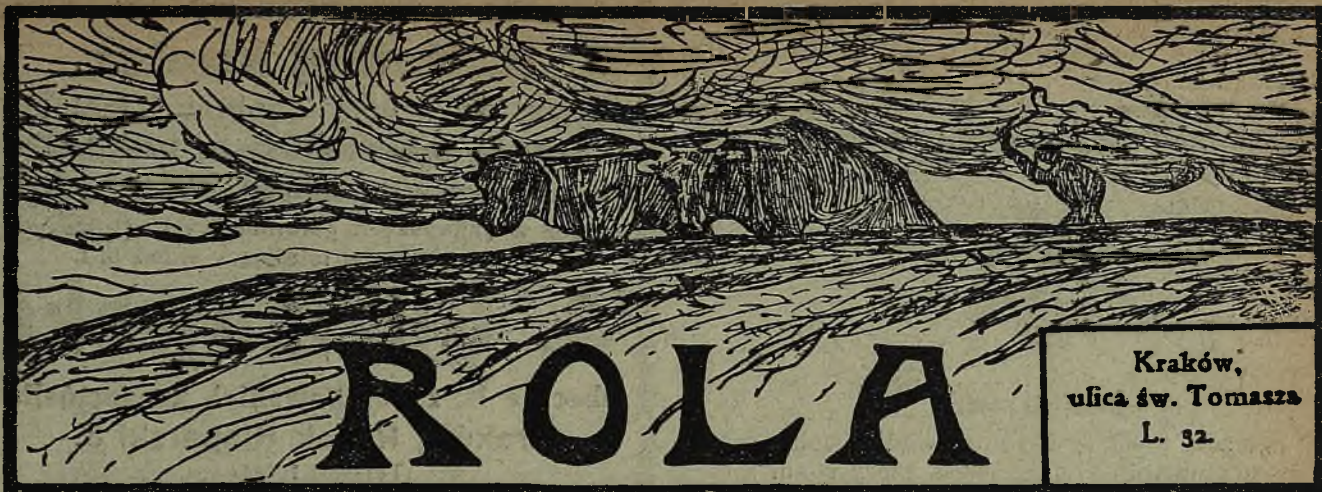
Numer 20. Należ. poczt. opł. ryczałtem. **Dnia 17 Maja 1931**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

„Zemsta cygana"

sztuka w 3-ch aktach ze śpiewami i muzyką, znanego naszym Czytelnikom poety ludowego Roberta Rydza — opuściła prasę i jest do nabycia w księgarni nakładowej A. Cybulskiego w Poznaniu. Sztukę tę polecamy naszym zespołom amatorskim. Cena 6 zł. wraz z utworem muzyczn.

W wagonie.

— Nie wiadomo panu, czy w wagonie znajduje się przyrząd alarmowy?

— Nie widzę żadnego.

— W takim razie proszę pana o pieniądze! A jeśli nie dostanę, to panu w łeb palnę!...



Dziwna rzecz.

W pewnem towarzystwie opowiadają sobie o cudownem uratowaniu rzemieślnika, który spadł z dachu i wcale nie ucierpiał.

— To nic — rzecz jeden z panów — ja sam zeskoczyłem z dwudziestopiętrowej drabiny, która stała na bruku, a jednak nic mi się nie stało!

— Dla Boga, jak to było możliwem? — zakrzyknęli jednogłośnie słuchacze.

— Bardzo prosta rzecz — odparł ów pan — zeskoczyłem z pierwszego szczebla z dołu!



Nowe przysłowia.

Kto rano wstaje — temu także darmo nikt nic nie da.

Kto się śmieje ostatni, ten najczęściej niema z czego się śmiać.

Uderz w stół, a stół się rozleci.



Zadziwiające!

...Mówiłem panu, że kiedyś z powodu ciężkiego zmartwienia osiwiałem w ciągu jednej nocy. Otóż wyobraź pan sobie, wczoraj otrzymałem wiadomość tak radosną, że w ciągu nocy wszystkie włosy mi zczerniały...



Podsłuchanie.

Mańka: Twoja mama jednak nie jest taka ładna jak moja!

Franka. No, to nic nie szkodzi, ale zato moja mama jest jeszcze panną, a twoja nie!

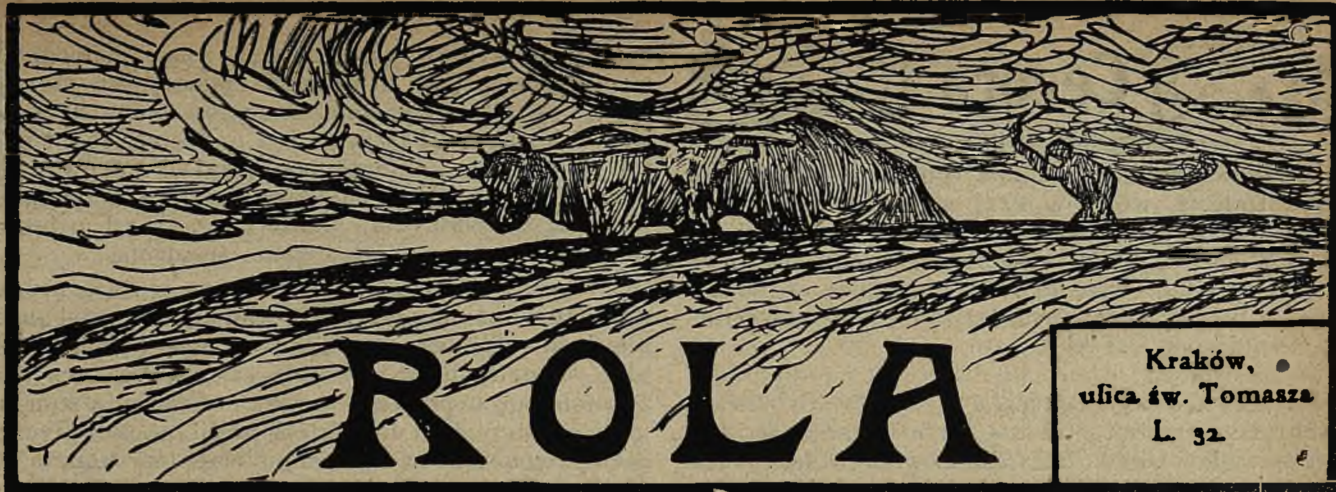


Między dziećmi.

Franek: Jak będę stary, to będę doktorem i będę ludzi leczył, i będą umierali — a ty co?!

Józek: A ja zostanę jegomością i będę chował wszystkich, coś ich leczył.

Numer 20. Rok XIV. Kraków, dnia 17 maja 1931.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.391 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Poszanowanie prawa i cudzej własności.



Każdy prawy obywatel państwa musi mieć wszczepione niejako poszanowanie prawa. Wszelkie prawa, nakazy i zakazy krępują wprawdzie swobodę niektórych indywidualności, są jednak niezbędne i konieczne w każdym ustroju społecznym. Prawa, ulegające z biegiem czasu rozmaitym przemianom stosownie do potrzeb i zmian w ustroju państwowym, istnieć będą zawsze, taksamo jak istnieć będą zawsze wyżsi i niżsi. Tylko bardzo ograniczone jednostki sądzić mogą, że na świecie nastąpi kiedykolwiek bezwzględna „równość" pod każdym względem. Może nastąpić tysiące zmian i ulepszeń, ludzie mogą żyć wzajemnie w daleko znośniejszym i rozumniejszym niż dziś, stosunku do samych siebie. Może nastąpić jak najdalej idące zrozumienie i porozumienie. Zawsze jednak znajdą się umysły wyższe i niższe, genjalne i zwykłe, skomplikowane i proste. Pierwsze będą zawsze siłą faktu przewodziły, a drugie muszą im ulegać. Prawa mogą stać się nader łagodne, a forma ich nie rażąca, ale istnieć będą i będą zawsze prawami. Na prawie opiera się ochrona mienia i życia współobywateli. Prawa te, czasem niezrozumiałe dla ogółu, staną się z chwilą, gdy poziom naszej powszechnej cywilizacji się podniesie, jasnemi i mądremi.

Teraz dotkniemy największej może bolączki naszej: poszanowania cudzej własności. Wielu z Szan. Czytelników napewno czytało lub słyszało, że istnieją państwa, w których poszanowanie cudzej własności nie jest czczym frazesem, ani mrzonką. I tak n. p. w Danji, oraz w Holandji, można, odchodząc do miasta, pozostawić na ławce obok domu flaszkę lub naczynie na mleko, kładąc również pieniądze. Powracając, zastaniemy nietylko mleko, ale i resztę pozostałą po odtrąceniu należytości. Kupiec sprzedaje towary wewnątrz sklepu, a na ławce przed sklepem stoją poustawiane butelki z mlekiem. Każdy klijent zabiera sobie tyle, ile mu trzeba, i składa na ławce należytość. Niema wypadku, aby kiedy brakło choćby grosza! W Szwecji niema w żadnym tramwaju konduktora. Każdy składa swą należytość do puszki i o dziwo! nikt nie jeździ „na gapę" — chyba „przyjezdni" jak mówią sami Szwedzi. W Niemczech i w Czechach, są drogi wysadzone drzewami owocowemi, których nikt nie obrywa i nie obłamuje! Widać więc, że da się utrzymać złe instynkta na wodzy, o ile się tylko chce. U nas pojęcie „cudzej własności" jest dość problematyczne. Złodziejem jest ten, który wyciąga drugim pieniądze z kieszeni. Otrząść komu owoce, zabrać parę snopków zboża, wykopać jarzyny, iść do lasu po „dęba" lub „suszkę"„ nie oddać rzeczy znalezionej, to już całkiem coś innego! Jak się zaś na to zapatruje zagranica, postaram się zilustrować poniżej:

Jedna z mych znajomych pani Ch., osoba godna zaufania, wyjechała przed kilku laty na kurację do Karlsbadu (Czechy). Siedząc na ławie w pobliżu Zakładu, zapomniała przez roztargnienie torebkę, w której obok papierów osobistych było na szczęście tylko 50 k. cz. Zgłosiła stratę w „Biurze rzeczy znalezionych" i tam usłyszała następującą charakterystyczną odpowiedź:

„Wątpię, aby Pani odzyskała swą zgubę! W tym sezonie jest dużo Polaków, a oni nie lubią oddawać rzeczy znalezionych!"

Taki policzek moralny dany całemu narodowi, nie potrzebuje komentarzy! Mówi on najlepiej sam za siebie.

Marja Waller.



Cecora.

Powieść historyczna. (Ciąg dalszy)

Według zamiaru hetmana, pułki polskie miały przejść Dniestr, wejść w kraj nieprzyjacielski, poszukać tam wroga i wstępnym bojem zmierzyć się z nim. Wiedzieli o tem wodzowie i wojsko całe. To też gdy błękitna wstęga rzeki błysnęła w oddali lśniącym łukiem drgających fal, z ust niemal wszystkich wzniósł się okrzyk:

— Za Dniestr!...

I taka chęć boju ogarnęła rycerstwo, że chciało natychmiast przebyć błękitne tonie i stanąć na ziemi nieprzyjacielskiej. Lecz Żółkiewski wojenny pohamował zapał. Długim, a pospiesznym marszem wojsko było znużone, słońce zresztą chyliło się ku zachodowi, przed jego zajściem zaś pułki nie mogłyby się przeprawić, a choć nieprzyjaciela widać nie było, zdrada nie śpi i przezorność nakazywała języka wpierw zasięgnąć. Nad Morachwą więc, pod Buszą, wojsko stanęło obozem; nazajutrz po wypoczynku miało przejść Dniestr i zapuścić się w równiny mołdawskie. Rozbito namioty, zatoczono działa, konie rozsiodłano i postawiono straże. Pan hetman w towarzystwie wodzów doglądał wszystkiego, a widząc rycerskiego ducha w wojsku, rad był i pewny wiktorji.

Tarcza słoneczna chyliła się coraz niżej, rozszerzała, czerwieniała; pierzaste obłoki przybierały barwę ognistą przesiąknięte tą jasnością słoneczną. Żółkiewski w otoczeniu wodzów i w towarzystwie nieodstępnego mu Kurzańskiego wyjechał na wzgórze i patrzał.

Za Dniestrem było cicho, nic a nic nie zdradzało obecności nieprzyjaciela. Lot ptaków wskazywał, że wróg był daleko. Wrony i kruki nie leciały stadem zbitem, lecz w liczbie niewielkiej unosiły się nad stepem, jak to codziennie bywa. Mgła kurzawy nie opylała nigdzie przestrzeni, panował wszędzie nienaruszony spokój. Znać było, że pułki Skinderowe zwlekały z pochodem, nawet straszny Kantemir, krwawym mieczem przezwany, czerwonymi pożarami nie zawiadamiał o bytności swojej. Rad był z opóźnienia tego hetman, bo nikt mu wstrętu nie uczyni w przeprawie przez rzekę i w wyborze miejsca do spotkania się stosownego. Zwrócił więc oczy w przeciwną stronę — na północ.

— Czy waść widzisz? — odezwał się po chwili do stojącego obok Plichty i ręką wskazał.

Plichta wpatrzył się.

— Widzę ruch jakiś i kurz, jakby owiec stado kto gnał.

— Nie owce to, jeno jeźdźcy jacyś — rzekł hetman.

— Teraz widzę wyraźnie zastęp konny — odpowiedział Plichta.

— Wżdy nie Turek ani Tatar? — wtrącił Kurzański.

— Jużci! — Żółkiewski na to. — Jakiś oddzialik sunie ku nam, ale rozmierzywszy przestrzeń, od obozu go dzielącą, to jedno mogę powiedzieć, iż jakichś gigantów los nam przynosi.

Rzeczywiście, przestrzeń oddzielająca jeźdźców onych od miejsca, na którem hetman stał, była dość znaczna, a konie i ludzie rysowali się na horyzoncie w potwornych kształtach jakichś. Już bystre oko mogło dojrzeć prawie każdego z osobna, lecz wyrozumieć trudno było, czy rzeczywiście postaci, czy cienie olbrzymów widzi przed sobą. Niejednolity strój i rozmaitość uzbrojenia zbliżających się, rozbijały wszelkie możebne przypuszczenia: ni rycerski, ni kozacki, ni tatarski był to zastęp. Jedni mieli tarcze okrągłe i miecze jak drągi u boków, u innych z za pleców wyglądały rusznice albo kusze nieużywane oddawna, niektórzy zaś byli uzbrojeni w widły potworne, żelaziwem nasadzone...

Wymiary ludzi i koni ogromne były, a przewodził nad nimi mąż olbrzymi, który jeden miał na sobie żupan pąsowy, a na głowie czapę wysoką z kitą piór rozmaitych. Nie szabla szlachecka, lecz krzyżacki miecz u prawego zawisł mu boku, a koń pod nim podobny był do jakiejś bestji apokaliptycznej. Szedł stępa, ale za każdem uderzeniem kopyta wytryskiwała ziemia, niby bryzgi z kałuży. Zbliżali się ku obozowi zwolna, a chmura otaczała ich pyłu i ziemia dudnić zaczęła.

— Dalipan!... Nie jestem na wyspie Patmos, a mam widzenie świętego Jana!... — odezwał się hetman, oczy przecierając.

— Pozwolisz wasza miłość, a w skok ruszę i dowiem się, co za jedni? — rzekł Plichta.

— Patrzno! patrz!... — zawołał nagle hetman.

Spojrzeli.

Naczelny wódz owej bandy rozkrzyżował ręce.

Zdumienie ogarnęło wszystkich.

Nie były to ręce zwykłego człowieka, które do kolan sięgają, ale jakieś skrzydła wiatraka, po opuszczeniu daleko za kolana sięgające, zakończone pięściami, okrągłemi jak tarcze.

— Symeon Kopyciński!... — krzyknął Plichta i ruszył na spotkanie wielkoluda.

Na okrzyk ten ruch się zrobił w otoczeniu hetmana i wesołości uśmiech buchnął. Z bliskich namiotów, ten i ów podbiegł i na wzgórze wskoczył — okrutny gwar się wszczął i jakieś nawoływania radosne.

— Szymek! Szymek! — wołali jedni.

— Łupiskóra! — odpowiadali inni.

— A skąd on, aż z Moskwy tu się wziął? — Żółkiewski się ozwał.

Tymczasem Plichta, na swoim rumaku siedząc, był już przy Szymku Kopycińskim i otwierając do powitania ramiona, wołał:

— A witajże Goliacie, wojujący lepiej pięścią niż mieczem!...

— Wy sztucznej używacie broni — a ja rękami wojuję — zaśpiewał z litewska Łupiskóra.

I siedząc na swoim dromedarze objął Plichtę, raczej omotał go, niby pająk muchę, a że mu niewygodnie było obłapiać Dawida, podniósł go na wysokość postaci swojej, tak, że Plichta strzemiona pogubił — i dopiero zaczął pocałunkami obdarzać.

Żółkiewski się śmiał, a Kurzański gębę ze zdziwienia rozdziawił; rycerstwo zaś kopnęło się do pana Symeona z okrutnym powitania okrzykiem:

— Chodźcie, duszeczki moje — śpiewał Łupiskóra. — Niech was każdego pomacam.

I „każdego“, przyciskając do serca, zdjął z konia, a wąsiskami, niby miotłami dwiema szorował, rad będąc, że się widzi wśród swoich, w przededniu zapasów z nieznanym jeszcze wrogiem.

Hetman, poznawszy sławnego rycerza, zjechał ze wzgórza i powoli ku niemu zbliżać się począł. Kopyciński, dostrzegłszy wodza, skoczył na czoło swojego szeregu:

— Muzyka!... — wrzasnął.

Jakiś zgrzyt i pisk i darcie się piekielne odezwało, aż Żółkiewski mimowoli uszy sobie zatkał. Szereg stanął w bojowym porządku, rohatyny i chorągiew, djabli wiedzą jak i z czego uszyta, pochyliły się przed hetmanem, a Kopyciński z konia zeskoczył i przypadł do ręki pańskiej.

— Jaśnie wielmożny hetmanie — zaśpiewał. — Z rozmaitych zakątków rzeczypospolitej ludzi zebranych przyprowadzam miłości waszej. Jeden zbój większy od drugiego, ale to wszystko równo, gdy na Turka niewiernego się przygodzi. Każdy żywot swój podły za zdrowie miłości waszej odda, a walcząc za świętą wiarę naszą odkupienia grzechów dostąpią, jakimi ich dusza pomazana. A nikt inny, tylko ja, nad nimi przewodzić nie może, bo jako panny zakonne bez różańca, tak oni bez pięści się nie obejdą. Przypuść wasza miłość tych ptaszeczków moich do łaski swojej, a piać tak będą, jako przez grzeszne moje usta rozkażesz.

Żółkiewski uśmiechnął się, dłoń położył na ramionach olbrzyma i rzekł:

— Będzie, jako chcesz. Ale powiedz, skąd przybywasz i gdzieś nałapał tych ptaszków?...

— Z ziemi moskiewskiej jadę, otrzymawszy pozwolenie od królewicza. Turka w żywe oczy nie widział jeszcze, ani mięsa jego nie kosztował, a tam już niewiele do roboty mamy. Ale sam nie chciał przed waszą miłością stanąć, jeno umyślił sobie, aby porządny oddzialik zlepić, uzbroić i wraz z nim przybyć. Co ja roboty miał, nim tych ptaszeczków zebrał, dorównywających wzrostowi mojemu! Od samej Moskwy zbierał, ostatniego w Grodnie znalazł, któremu kat miał głowę wziąć, że matkę rodzoną zadusił. Każdy ma jakieś przewinienie na sobie, nikt bez grzychu. Chciałem stu galganów zebrać, ale nad dziewięćdziesięciu dziewięciu znaleźć więcej nie mogłem, a że Pan Jezus powiedział, iż lepiej dziewięćdziesięciu dziewięciu złym przebaczyć, niż jednego niewinnego potępić, to ta liczba wydała mi się przez Opatrzność naznaczona, a wasza miłość zobaczy, jak gdy przyjdzie okazja, te ptaszki moje dziobią. Oczywiście, że do obozu ich nie wprowadzę, by dezhonoru rycerstwu nie zrobić, ale w dalekości stanę i łupić będę skóry muzułmanom niewiernym.

Na to hetman:

— Nieograniczoną masz władzę nad nimi, choć wolałbym nad zacniejszym żołnierzem przewództwo tobie dać, któryś rycerz praw, a niemało rzeczypospolitej zasłużony... Cóż dalej?

— Od króla mam pismo do miłości waszej, bo z Moskwy powracający do Warszawy wstąpił z zawiadomieniem, że jadę muzułmanowi skórę łupić.

Tu podał hetmanowi odręczny list króla.

Żółkiewski list wziął, pieczęć rozłamał i czytać począł.

Stare czoło hetmana zmarszczyło się. Prawicę z listem opuścił — za Dniestr spojrzał, wszerz i wzdłuż oczyma po obozie przebiegł i zjechał ze wzgórza do namiotu swojego kierując się. Przy Kopycińskim zostało rycerstwo i Kurzański, który dotąd z podziwu do siebie przyjść nie mógł.

— Panie Symeonie — zagadnął. — U waćpana wszystko na opak: ręce dłuższe od nóg, nogi dłuższe od rąk, tak, że waćpan na czworakach łacno chodzić potrafisz i niejednemu towarzyszowi, gdy się przygodzi, okulbaczyć się dasz. Nawet jako widzę i miecz u waćpana nie po lewicy lecz po prawicy wisi.

— Mańkut jestem zaśpiewał Kopyciński — ale to w potrzebie na złe tylko nieprzyjacielowi wychodzi, bo on mierzy z lewa, a ja z prawa zacinam. A rękom moim nie przymawiaj aspan, bo zanim nieprzyjaciel do pochwy sięgnie, to ja go za łeb chycę. Najzacniejszemu zaś towarzyszowi nie radzę, ażeby mnie okulbaczył, bo jak kopytnę, to kosteczek swoich nie pozbiera. A teraz aspan powiedzieć zechcesz, z kim mam przyjemność gadać...

Kurzański przedstawił się.

— Aa! tak mi aspan śpiewaj. A ja myślał, że jakiś sobie koroniarz chce drwić ze mnie i już po litewsku chciałem mu odpowiedzieć. Teraz, gdy łaska, dajcie mi trochę miodu, albo piwa, bo okrom wody świętej innego napoju wargi moje nie dotykały. A jakkolwiek to napój dobry, zawsze człowiek i za innym specjałem zatęskni.

Towarzysze wnet otoczyli Kopycińskiego, a Kurzański wprost przylepił się do pana Symeona. Koniecznie chciał go zmusić do odpowiedzi litewskiej, ale gdy nadto dokuczył, Kopyciński rzucił z flegmą:

— Odczep się acan! — i powolnym ruchem ręki odgartywał go na kroków kilkanaście od siebie.

Szlachta parskała śmiechem, a Kurzański dogryzał. Wtedy pan Szymon zwracał się ku niemu i mówił powoli:

— Boże ty mój święty; ta czego ty chcesz odemnie?

Kniaź Korecki w namiocie swoim przyjmował Szymona. Wszystkie kielichy i puhary okazały się na nic, bo Kopyciński palcami swemi nie mógł ich objąć. Znikały w jego potwornej dłoni, jak naparstek w ręce normalnej. Zadowolił się dopiero, gdy postawiono garniec. Oplótł go palcami, do ust przytknął, mlasnął językiem i wnet całą zawartość naczynia wypróżnił. Kurzański, jakby z zazdrością na Szymona patrzał. Po kilku takich łykach odezwał się:

— Mi się widzi, że w przeprawie przez Dniestr niewiele kłopotu będziemy mieli, oby tylko pan Kopyciński pragnienie uczuł. Jak nic rzekę nam wysuszy.

— Ta czego ty chcesz odemnie, korono cierniowa? — zaśpiewał Litwin.

— Rad jestem z waćpana, ale do spółki przy beczce jednej z nimbym nie usiadł.

— Ta jabym sam tego nie życzył sobie — odparł Szymon.

Pijąc i posilając się, nie zapomniał o towarzyszach swoich.

— Kniaziu! — odezwał się — a nie zapomnij tam o ptaszeczkach moich.

„Ptaszeczki" Kopycińskiego o staję jedną rozłożyli się za obozem. Były to chłopy na schwał, o piersiach niedźwiedzich, barkach turzych, o twarzach bezczelnych. Padaczki możnaby dostać, sam na sam spotkawszy się z którym. Ulegli tylko przed niezmierną Kopycińskiego siłą, prawie nadludzką istotę w nim widząc. Ta moc fizyczna zaimponowała im. Posiekaćby się dali za wodza swojego. Żołnierze ze zdumieniem patrzyli na owe potwory ludzkie, a jeszcze większy dziw ich ogarnął, gdy późnym wieczorem, podczas snu obozu całego, posłyszeli nabożną pieśń. Sto głosów suplikację śpiewało, że step grzmiał jakby od hurkotu gromów dalekich. Ten i ów z obozu się wysunął; Korecki, Plichta i Kurzański nawet z namiotów wyszli, na głosy się kierując. Kopyciński klęczał z oczyma i rękami wzniesionemi w niebo, a za nim „ptaszeczki" jego. Wszy-

scy śpiewali pieśń z wielkiem podniesieniem ducha. Twarze tych zbójów, którzy z krwią zimną rozbijali łby ludzkie pałkami, doniosłością chwili przejęte były. Patrzącym zdawało się, że każdy z nich kajał się i wzywał zmiłowania Bożego dla duszy swej grzesznej. Cudu tego dokonał Kopyciński.

— A wiesz waszmość, że to nad dziwy dziw — szepnął Plichta do Koreckiego.

— Nie zasnąłbym jednak z nimi razem — kniaź odpowiedział.

Pieśń umilkła, pan Szymon powstał i rzekł:

— Dobranoc, ptaszeczki moje!

Odpasał miecz i na skórze wilczej wśród nich się położył.

Żołnierze Kopycińskiego legli pokotem — i za chwilę sto piersi odezwało się sennem chrapaniem.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wyżyny życia.

Ogólnie panuje wśród ludzi niezadowolenie ze swego losu, poszukiwanie nowych, lub raczej zapomnianych ideałów życia. Bóg dobrotliwy nie chce zostawić ludzi w takiej rozterce, gorączce, chorobie duchowej. Dlatego też dał nam wielką świętą Teresę od Dziec. Jezus (1873—1897), której nauki, orędownictwo przemożne, cuda wielkie, jak silny, ożywczy, zbawczy wiew ochłodziły zmęczone, zgorączkowane walką życia umysły ludzkie. Jeszcze nie przebrzmiały echa zwycięskiego pochodu czci Wielkiej Świętej, a już Bóg daje nam dowody nowe Swej Opatrzności, kierując nasz wzrok ku wyżynom życia.

Gdybyśmy pewnego dnia zatrzymali się na stacji bawarskiej Waldsassen, blisko czeskiej granicy, następnie udali się bodaj pieszo 7 km. do wioski bawarskiej Konnersreuth, prawdziwe zdumienie ogarnęłoby nas. Wioska ta mała liczy zaledwie 950 mieszkańców, ku niebu wystrzela wieżycami wiejski kościółek katolicki. Dlaczego do tej wioszczyny zajeżdżają tak liczne samochody, niekiedy do 300 dziennie, przywożąc po kilka tysięcy ludzi? Przyjeżdżają chrześcijanie różnych wyznań, żydzi i niedowiarki. Przyczyną tej nieustannej wędrówki tysięcy ludzi, to nie jakieś niezwykłe zjawisko przyrody, nie arcydzieło sztuki, lecz... dziewczyna wiejska, Teresa Neumannówna.

Teresa urodziła się 9 kwietnia 1898 r., jako córka małorolnego wieśniaka a zarazem krawca wiejskiego. Jako najstarsza z 10-ciorga dzieci Neumannów, musiała Teresa od 14 do 20 roku życia spędzić na służbie, po ukończeniu wiejskiej szkółki. Lubiła ona pracę, nawet cięższą, jak orkę, młócenie zboża, kośbę, co zresztą było koniecznem zajęciem dziewcząt i kobiet, bo mężczyźni byli na wojnie.

Neumannówna była nad wiek rozrośniętą i silnie zbudowaną, toteż często młodzieńcy napastowali ją niemoralnemi propozycjami. Raz zaskoczona przez napastnika, bawiącego na urlopie, w stodole, czując się fizycznie znacznie słabszą, rzuciła się ze znacznej wysokości na dół, nie zważając na możliwe kalectwo, byle ujść grożącego jej niebezpieczeństwa. Innym razem, gdy jej już sił przybyło, a jeden z młodzieńców nalegał na nią uporczywie o schadzkę, kazała mu przyjść w oznaczone miejsce. Lecz tutaj w odpowiedzi na jego zapalne projekty, tak go wykładała wziętem ze sobą biczyskiem, że szczęśliwie raz na zawsze wypędziła mu z myśli grzeszne pragnienia.

Teresa z przemęczenia przy gaszeniu pożaru w r. 1918 ciężko zachorowała, musiała służbę porzucić, i na 6 i pół roku choroba przykuła ją do łoża boleści. Stopniowo utraciła zupełnie wzrok, później słuch, lewą stronę ciała miała sparaliżowaną, straciła władzę nad wypróżnieniami, potworzyły się jej wrzody bolesne i cuchnące, wrzody w gardle groziły jej każdej chwili zaduszeniem. Zawsze była Neumannówna gorącą czcicielką św. Teresy od Dziec. Jezus. Gdy więc 17 maja 1926 r. zobaczyła światło i usłyszała głos św. Teresy od Dziec. Jezus, czy chciałaby wyzdrowieć, odpowiedziała: „Zgadzam się na wszystko, co Bóg chce, na zdrowie, chorobę lub śmierć". Za sprawą swej wielkiej Imienniczki, Neumannówna w r. 1923 odzyskała wzrok, a 17 maja 1926 r. zdrowie, tak, że po 6 i pół latach wstała o własnych siłach z łoża boleści (w dzień ogłoszenia św. Teresy od Dziec. Jezus świętą).

W tym samym roku otrzymała Neumannówna stygmaty Męki Pańskiej, to jest rany na rękach, nogach, głowie i boku takie, jakie miał Pan Jezus. Gdy te rany sfotografowano, na kliszy fotograficznej wychodzą z tych ran świetliste promienie.

Teresa Neumannówna ma dokładne widzenia Męki Pańskiej, cierpienia Chrystusa w ekstazie sama odczuwa, słyszy słowa wymawiane w języku aramejskim, jakim za czasów Chrystusa mówiono, lecz słów tych nie rozumie. Ma również widzenia zdarzeń z życia Zbawiciela, Najświętszej Marji Panny i Świętych. Teresa zna tajemne sprawy ludzkie, przepowiada przyszłość i t. d.

Neumannówna od 1926 r. prócz Hostji św. i 6—8 kropli wody, celem łatwiejszego przełknięcia Tejże, nie używała żadnych pokarmów i napojów, a od września 1927 r. prócz Hostji św. nic więcej nie spożywa, powstrzymuje się nawet od tych kilku kropel wody i od snu zupełnie.

Przy widzeniach Męki Pańskiej traci Teresa znaczną ilość krwi, waga jej ciała spada 2—3 kg, lecz już następne dwa dni wyrównują ubytek wagi (waży 55 kg). Ludzie niewierzący, dziwów tych nigdy wytłumaczyć nie potrafią, my zaś wiemy, że są to dzieła Bożej Opatrzności, cudowne utrzymywanie Neumannówny przy życiu.

Nadmienić wypada, że Teresę odwiedziły i odwiedzają setki lekarzy i uczonych, że była pilnie obserwowaną i badaną, wielu niewierzących chcąc Teresę przyłapać na czemś, nawróciło się i stało się gorliwymi katolikami. Wielu polskich księży i również biskupi odwiedzili już Neumannównę i nabrali przekonania, że ma się tutaj do czynienia z cudami. Papież obecny, Pius XI. przesłał Teresie swój portret z błogosławieństwem apostolskiem i własnoręcznym podpisem. Zanim nadeszła wiadomość o błogosławieństwie papieskiem, Teresa opowiedziała już miejscowemu proboszczowi, ks. Naberowi, o niem.

Teresa Neumannówna obecnie żyje zdrowa, ubiera ołtarze kwiatami, karmi swego kanarka, godzinami rozmawia z gośćmi, czyni wszystko z miłości ku Bogu, żyje na wyżynach i ufajmy, że stworzona jest do wielkich rzeczy. *Jan Pelczar.*

BUDOWNICTWO WŚRÓD OWADÓW.

Do najciekawszych żyjątek na świecie należą bezsprzecznie pszczoły i mrówki. Pszczoły, jako przynoszące nam bardzo wiele pożytku, są więcej znane i hodowane przy naszych domach. Natomiast zwykły śmiertelnik nad mrówkami prawie się nie zastanawia. Widzi je, chodzi koło nich, a czasem nawet broni się przed nimi, ale jak one żyją, co robią, nad tem prawie nigdy się nie zastanawia. A i co do pszczół, to zaledwie mała garstka ludzi zna ich życie, zwyczaje, obyczaje i te cudowne urządzenia, jakie one w swych domkach mają. Ogół jakkolwiek rozkoszuje się nieraz słodziutkim miodem pszczelim, to w rzeczywistości pszczół nie lubi, bo się ich boi, aby go tam czasem która nie ukłóła. A przecież nawet ukłócie pszczoły jest dla człowieka pożyteczne, bo leczy reumatyzm lub mu zapobiega.

A szkoda wielka, że ludzie nie znają natury pszczół, że jej nie badają i życia tych maleńkich stworzeń nie naśladują. Gdyby to czynili, byłoby lepiej na świecie.

Zaglądnijmy do ula, zamieszkałego przez liczną rodzinę pszczelą. Znajdziemy tam jedną, jedyną matkę-samiczkę, która jest królową i panią całej pszczelej gromady. Gdy kwiaty zakwitną i zaperli się w nich złocisty miód, matka od świtu do nocy składa w przygotowane komórki maleńkie jajeczka, z których wylęgają się później gąsieniczki, a te przemieniają się w ciągu trzech tygodni w dorodne pszczółki. Jajek takich matka znosi dziennie dwa i trzy tysiące, a czasem i więcej. Nie robi nic innego, nawet o pokarm dla siebie się nie troszczy, bo karmią ją jej służebnice, ona tylko dba o to, aby rodzina pszczela z dniem każdym się powiększała.

Prócz matki-królowej w ulu jest dziesiątki tysięcy pszczół-robotnic. Z natury są to właściwie także samiczki, ale już od urodzenia wyparły się swojej płci i stały się jakby bezpłciowe. Celem ich życia jest praca i to praca nie dla siebie, ale dla następnych pokoleń, których one ani oglądać nie będą. Żyją krótko, bo zaledwie około sześciu tygodni, a całe swe życie spędzają na żmudnej pracy, to lepiąc wonne plastry woszczyny, to znosząc złocisty nektar z kwiatów, to wychowując liczne młode pokolenie, które po śmierci ich zajmie ich miejsce i pracę ich będzie kontynuowało. Do pracy nikt ich nie napędza, pracy tej nikt nie kontroluje. Pracują, bo praca jest przeznaczeniem każdego stworzenia. Niema wśród nich kłótni, niema sporów, a jeno zgoda i miłość wzajemna, której im ludzie pozazdrościć mogą.

Jak wśród ludzi można znaleźć bez trudu pewną ilość darmozjadów, tak i w państwie pszczelem bywa po kilkaset trutniów. Są to samce, które nic nie robią, co najwyżej ciepłem swem wygrzewają młode pokolenia, siedząc bezczynnie na plastrach, a koło południa z brzękiem opuszczają ul, aby pobujać nieco w powietrzu. I z tych setek darmozjadów tylko jeden i to nie w każdym roku przydaje się do zapłodnienia młodej matki.

Podobnie urządzone są rodziny mrówcze, z tą różnicą, że w gnieździe mrówczem może być więcej samiczek, które znoszą jajka, dlatego też rodziny mrówcze liczą nieraz po kilkaset tysięcy drobiazgu, a znalazłby i takie gniazda, gdzie stworzonek tych możnaby liczyć na miljony.



Olbrzymia budowla termitów.

Do bardzo ciekawych mrówek należą termity, żyjące w krajach południowych. Żyją one w gromadach, złożonych z bezskrzydłych robotnic, wykonujących wszelkie prace, z bezskrzydłych żołnierzy z grubą głową i silnemi szczękami, którzy bronią osady, dalej z samców i samic skrzydlatych, odznaczających się odwłokiem, kilkadziesiąt razy większym od reszty ciała, wypełnionym olbrzymią ilością jajek. Budują z gliny, z przeżutego drzewa, zmieszanego ze śliną, wielkie kopce 4 do 5 metrów wysokie, gdzie mieszkają i skąd robią wycieczki na wszystkie strony. Kopiec taki dla ukrycia go przed okiem ludzkiem, względnie dla zabezpieczenia w nim ciepła nakrywają trawą i liśćmi, jak to widzimy na naszym obrazku. Sąsiedztwo ich dla ludzi jest wcale nieprzyjemne, gdyż wciskają się wszędzie, gryząc wszystko, co nie jest z metalu.



Zrobiła się zwiesna, ze jaze radość i byłoby wszyćko dobrze na świecie, gdyby nie to obcinanie. Ogrodnik obcina drzewkom i krzakom zeschnięte gałązki, coby się w nich mole nie mnozyły, podmiejskie baby obcinają bzy, jaśminy i inkse krzaki z kwiatami i wynoszą je do miasta na sprzedaż, miejskie baby obcinają se pełechy na łebach, jako to, ze się teraz cieplej robi i o gadziąstwo nie trudno. Pan minister od pinięd̨zy uzazdrościł babom i tak, jak one, poobcinał penksje urzędnikom. Bez to i człek się trochę stracha, aby mu tam jaki weterynarz jakiego jęzora, abo cego inksego przy tem obcinaniu nie obciął.

Latego tez teraz, jak się ino mam gdzie dalej wychynąć z chałpy, to bierę ze sobą porządną lasicę i jesce się dobrze obziram na wszyćkie boki, cy nie zuźrę gdzie przed sobą jakiego ministra, abo weterynarza. A jeśli mi się uda kaj po drodze napotkać jakiego nieznajomego źgaca, to haltuję go przed sobą na dziesięć kroków i poprzódzi, nim przejdę koło niego, wywiaduję się dobrze, cy on nie jaki Matusewski. Jak człek z wiary, to się nawet przywitam z nim, ale jakby broń Boże był jaki wiarsiawski obcinac, tobym całej lagi do chałpy nie przyniósł.

Coprawda, to mnie gospodarz pociesają, ze wszelkie obcinanie dotycy ino urzędników, ale niech sobie tam bają, a ja im nie wierzę. A nie wierzę po pirse latego, zem przecie i ja urzędnik. Wprawdzie nie krajowy ani miastowy, ale urzędnik Kaścyn i gosposin, więc jak się zaczęło obcinanie jednem urzędnikom, to i drugich nie pominie, a jak się zechce, to wszyćkich ludzi na świecie mozna pod nazwę urzędników podciągnąć i tak wszyćkiem pod snurek poobcinać. A po drugie, jak tem wiarsiawskiem obcinacom braknie urzędników takich prawdziwych, to się wezną do inksego naroda, bo powiada przysłowie, ze najgorzej zacąć. Zeby to pan minister był zacął choć od Kaścynego języka, toby było jakosik milej.

Wszyćko na świecie jest zaraźliwe. Cholera jest zaraźliwa, tyfus jest zaraźliwy, ziwanie jest zaraźliwe, bez to się tez boję, zeby i to obcinanie nie przemieniło się w ogólną zarazę. A począki jej juz widać. Moja gospodyni, jak się dowiedzieli ino o tych pietnastoprocentowych obcinaniach, to mi zaraz na wiecerzę dali o pietnaście zimniacków mniej. Powiadają, ze jak redukcyja, to redukcyja, a przecie taki najjaśniejsy minister wie, co robi, więc i gosposia musą wiedzieć, co robią.

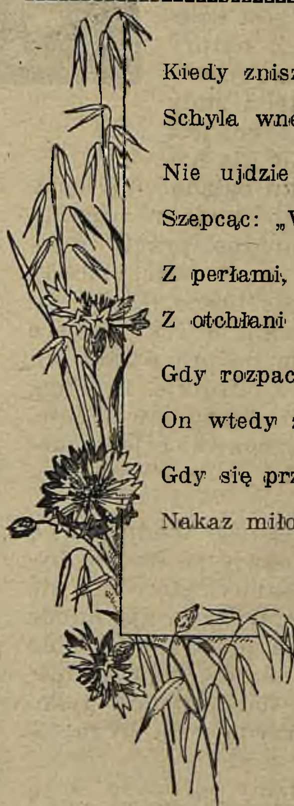
Jak Magda Cyzonka chodziła tak juz, juz, to wszyscy we wsi powiadali, ze będą bliźnięta. Ale dowiedziała się skądsik psiapara o rozporządzeniu pana ministra i zredukowała se małpa swój przychowek o całe 75 procent, bo ulągła ino jedno i to dzieuchę.

Przyjechał wkiejsik dochtór do Kuby Podlaska. Dawniej za zasmarowanie kawałka papiru płaciło się mu 50 złocisiów. Kuba myślał se, ze teraz będzie taniej, bo jak redukcyja, to redukcyja. Ale jakze się zdziwił, kiedy mu dochtór kazał zapłacić 80 złociaków. Kuba powiada, ze wskutek redukcji powinno być mniej a nie więcej, ale mu to dochtór dokumentnie wytłomacył: „Wicie, Jakóbie — powiada — to wszyćko przez to przeklęte obcinanie. Drzewi przysed do mnie i profesór, i kancelista, i pócciarz, i siandar, i kuzden inksy, co brał od rządu piniądze. Dziś kuzden urzędnik woli bez dochtora naturalną śmiercią umirać, bo zapłacić ni ma cem. A ja przecie z głodu zdychał nie będę tak, jak oni! Nie mogę wziąć od jednego, niech płaci drugi".

Zapędzi teraz chłop jakiego paciuka do miasta, abo zaniesie baba jajek i chcą to sprzedać, to powiada jem kupiec: „Cyś ty chłopie, abo babo, z pieca na głowę spadł! Kto teraz takie rzecy jada? Chyba pan minister Matusewski. Ci, co dawniej kupowali kiełbasę, albo jajecność musą się kontentować jałowemi zimniackami, abo baszcykiem, bo ich na takie fidrygałki nie stać!" Chłop (abo baba) postoi, podrapie się po pełechach i sprzeda swój towar za bezdurno, bo mu pinięd̨zy trzeba na podatki.

A idź se, bracie, kupić portki do zyda! Zaśpiwa ci tyle, ze juz na zgorsenie ludzkie wolis bez portek chodzić, anizeli nietylko ostatni gros z kieseni wyciągnąć, albo się jesce zadłuzyć. Tłomacenie zydowi, ze teraz fala taniości, ze teraz powsechne obcinanie, nie wystarcy, bo on ci powie, ze kiedy nie kupi portek nie ino prefesurzyna bylejaki, ale nawet sam prześwietny sędzia, to on musi pociągnąć z tych, co sobie jesce na portcęta pozwolić mogą. Bo on przecie nie urzędnik i zdychać z głodu, jak urzędnik, nie myśli.

I taka to tegorocna wiosna, którą nawet Poniezus, idąc śladem pana ministra Matusewskiego, bidnemu narodowi o cały miesiąc obciął.



Anioł Litości.

Kiedy zniszczenia, zwiastun ciężkiemi
Stopy zagości,
Schyla wnet jasne dłonie ku ziemi
Anioł Litości.

Nie ujdzie Jego bacznej uwadze
Żadna łza skryta.
Szepcąc: „W swój kielich te łzy gromadzę"
... Nędzarzy wita...

Z perłami, które oczom wyciska
Niedola sroga
Z otchłani bólów, z nędzy ogniska
Leci do Boga...

Gdy rozpacz, zgniótłszy wiary maszt kruchy,
Duszę pochłania,
On wtedy żebrze dla Was otuchy
I zmiłowania...

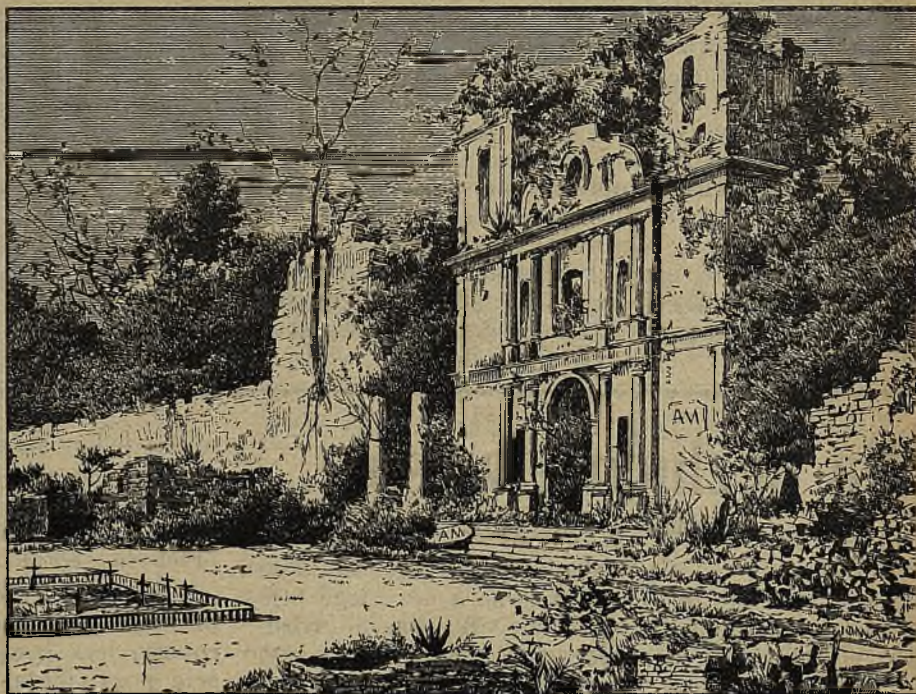
Gdy się przepełni goryczy czasza,
On pośród ludzi
Nakaz miłości Bożej ogłasza
I litość budzi...

Stanisław Jucha.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Brazylja V.

Co kraj, to obyczaj! — powiada nasze stare przysłowie. Nic też więc dziwnego, że w Brazylji, tak od nas odległej, są pod wielu względami inne obyczaje, które nam nieraz mogą się wydawać śmiesznemi. Ot, np. takie spożywanie pokarmów. Europejczyk z trudnością przyzwyczaja się do sposobu, w jaki we wszystkich brazylijskich domach, nietylko ubogich, ale nawet bogatych, spożywa się posiłek. Główną tego przyczyną jest brak chleba, który tu zastępuje gruba, wilgotna mąka z manioku. Mąką tą Brazylijczyk posypuje wszystkie bez wyjątku potrawy, ponieważ zaś te ostatnie składają się przeważnie z sosów, łatwo więc się domyśleć, jaka różnobarwna mieszanina tworzy się u niego na talerzu. Nadto jeden i tensam talerz służy do wszystkich potraw podczas obiadu i wieczerzy. Oczywiście ani to smaczne, ani apetyczne.



Ruiny kościoła w San Ignacio.

Długo istotnie trzeba mieszkać wśród brazylijskiego społeczeństwa, aby się przyzwyczaić do takiego trybu życia. Oczywiście gdy ktoś zamieszkuje tam na stałe z rodziną, może życie urządzić sobie według własnego upodobania. Zresztą i Brazylijczykowi nie można zarzucić zupełnego braku schludności, gdyż myją się oni nader często i dbają o swą powierzchowność, ale w sposobie ich jedzenia przebijają się jeszcze wyraźnie nieokrzesane, nawpół barbarzyńskie nawyknienia, co nie powinno nas dziwić w kraju, w którym prawdziwie wykształconej warstwy społeczeństwa nie było i dotąd jeszcze niema.



Klasztor OO. Dominikanów w Kordowie.

Szeroką działalność cywilizacyjną rozwijają tam OO. Dominikanie, którzy pierwsi w różnych miastach pobudowali swe klasztory. W dzisiejszym numerze „Roli" podajemy dwa obrazki, odnoszące się do misyj dominikańskich w Brazylji. Na pierwszym z nich widzimy ruiny pięknego klasztoru dominikańskiego w San Ignacio, na drugim OO. Dominikanów, zgromadzonych w ogrodzie klasztornym w Kordowie. O ile pierwszy obrazek świadczyłby o upadku misyj brazylijskich, to drugi wyraźnie stwierdza, że mogło się to stać gdzieś tam w jednej miejscowości wskutek jakiegoś zbiegu okoliczności, podczas gdy w innych praca wre w całej pełni i przynosi błogie owoce.

Najbardziej rozpowszechnionym napojem w Brazylji jest tak zwana „mate". Otrzymuje się go z drzewa Ilex mate, które rośnie przeważnie na płaskowzgórzach

lub stokach gór, tworząc niekiedy całe lasy. Ponad 100 tysięcy ludzi, przeważnie Indjan, utrzymuje się wyłącznie z handlu tą rośliną. Mianowicie Indjanie zbierają mate w lasach, obcinając cienkie gałązki wraz z liśćmi, biali zaś kupują od nich za bezcen surowy ten produkt i wyrabiają z niego proszek, który później pod nazwą paragwajskiej herbaty wywozi się do wszystkich krain południowej Ameryki, a nawet do Europy. Fabrykacja tej herbaty nie jest wcale tak skomplikowaną, jak naprzykład przyrządzanie herbaty chińskiej, ale w każdym razie wymaga pewnej wprawy. Chodzi mianowicie o to, aby proszek nie był zanadto miałki i prócz liści zawierał jeszcze pewną ilość substancji drzewnej, dostarczanej przez cieniutkie gałązki. Jak liście, tak też i gałązki suszą się oddzielnie na wolnym ogniu, rozcierają, a wreszcie mieszają ze sobą w pewnym, stale oznaczonym stosunku. Nakoniec robotnicy pakują proszek ten do paczek tak, jak chińską herbatę i manipulacja skończona.

Sposób przyrządzania napoju z mate jest również prosty, jak i jego wyrób. W tym celu do kubka o bardzo wąskim otworze, wyrobionego z pewnego gatunku, tykwy, sypie się garść herbacianego proszku i zalewa wrzącą wodą. Do picia z tego naczynia służy rureczka trzcinowa, na końcu której znajduje się cienkie sitko srebrne lub uplecione z włókien roślinnych, stosownie do zamożności właściciela. Kto dłuższy czas przebywa w Brazylji, przekonuje się niebawem o wartości tego orzeźwiającego napoju.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Na bezludnej wyspie.

Powieść awanturnicza.

Karefinotu z największem zainteresowaniem przysłuchiwał się tej ich rozmowie, a oczy jego błyszczały inteligencją. Widać było, że pragnie rozumieć, co mówią w jego obecności. Następnie on sam zaczął mówić szybko i z wielkiem ożywieniem, ale był to tylko szereg dźwięków bez sensu, wykrzyków, w których przeważały głoski: a, u, jak przeważnie w narzeczach polinezyjskich.

Tak czy owak, ten cudownym sposobem ocalony Murzyn, stał się trzecim mieszkańcem wyspy, a dla naszych rozbitków był oddanym sługą, prawdziwym niewolnikiem. Bardzo zręczny, silny i pojętny, nie cofał się przed żadną pracą. Z największą łatwością przyswajał sobie rozmaite wiadomości i skrupulatnie naśladował swych towarzyszy. Godfrey zajął się jego wychowaniem, poruczając mu pieczę nad zwierzętami, zbieranie korzeni i owoców, zarzynanie królików, owiec czy drobiu, wreszcie sporządzanie wina z jabłek manzanilli. Wszystkie te obowiązki Murzyn spełniał najskrupulatniej.

Ku zdumieniu Tarteletta, Godfrey nie czuł żadnego wstrętu czy niechęci do tego dzikiego, darząc go nawet zaufaniem. Niepokoiło go tylko jedno: że ludożercy, znając drogę na wyspę, lada dzień mogą tu powrócić.

Murzynowi wyznaczono we wnętrzu drzewa osobny kąt na łoże, jednakowoż w noce pogodne wolał on sypiać na wolnem powietrzu, gdyż był do tego przyzwyczajony. — W ciągu pierwszych dwóch tygodni pobytu na wyspie, Karefinotu stale towarzyszył Godfreyowi podczas jego wypraw myśliwskich, wydając okrzyki podziwu, ilekroć jakieś zwierzę czy ptak, padały w pewnej odległości, przeszyte strzałą. Wtedy, niby pies wytresowany biegł po łup, nie bacząc na żadne przeszkody, jak kolczaste krzewy, strumień, czy skalne rozpadliny. Godfrey przyzwyczaił się tak bardzo do jego towarzystwa, że nie mógł się bez niego obchodzić. Tylko pod jednym względem Murzyn okazał się dziwnie niepojętnym; żadną miarą nie potrafił sobie przyswoić najprostszych nawet słów angielskich, mimo trudu, jaki sobie z nim zadawano.

Tak upływał czas. A jakkolwiek dzięki rozmaitym okolicznościom, pobyt na wyspie ułożył się lepiej, niż w pierwszej chwili można się było spodziewać, to jednak Godfrey nie przestawał rozmyślać nad sposobami wydobycia się z tego odludzia. Nie minął jeden dzień, aby nie rozmyślał o powrocie do ojczyzny, o zobaczeniu wuja i narzeczonej. Nie bez trwogi tajemnej myślał o nadchodzącej brzydkiej porze roku, która utrudni jego powrót i wzniesie nieprzebyte szranki między nim, a resztą świata.

Dnia 27 września zdarzyło się coś niezwykłego, przysparzając Godfreyowi i jego towarzyszom sporo roboty, lecz równocześnie darząc ich wielką obfitością pożywienia.

Godfrey zajęty był wraz z Murzynem zbieraniem mięczaków na wybrzeżu „Zatoki Marzenia“, gdy zauważyli na morzu mnóstwo drobnych wysepek, przez wiatr pędzonych ku brzegom. Zdawało się, że jakiś archipelag ruchomy płynie po falach, a na nim skaczą czy podlatują roje ptactwa morskiego.

Co to za masy dziwne nadpływają na grzbiecie fal, wraz z niemi podnosząc się i opadając? Godfrey zdumiony wpatrywał się w to zjawisko, nie wiedząc, jak je sobie wytłómaczyć, gdy Karefinotu, rzuciwszy się na brzuch, wciągnął głowę między ramiona, ręce i nogi wsunął pod kadłub ciała, poczem zaczął wykonywać leniwe ruchy zwierzęcia, łażącego po ziemi.

Ze zdumieniem przyglądał się Godfrey tym gimnastycznym ćwiczeniom, nie rozumiejąc ich znaczenia. Nagle uderzył się w czoło, wołając:

— To żółwie! Żółwie!

Karefinotu się nie pomylił. Na przestrzeni mniej więcej jednej mili kwadratowej płynęły mirjady żółwi. W odległości może stu sążni od wybrzeża, największa ich część zniknęła pod wodą, a ptactwo, pozbawione oparcia, zakreślając kręgi, wzbiło się w powietrze. Na szczęście kilkadziesiąt żółwi płynęło w dalszym ciągu ku wybrzeżu.

Wtedy Godfrey i Murzyn rzucili się śpiesznie ku brzegom, by odciąć żółwiom odwrót, a można to było uskutecznić przez przewracanie ich na grzbiet. Robota bardzo uciążliwa, ale plon opłacił trudy, gdyż każdy żółw miał 3—4 stóp średnicy, a mięso zakonserwowane, należy do najlepszych smakołyków.

Przez cały dzień następny znoszono ten łup do drzewa Wilhelma, a Godfrey, przygotowany na to, że w zimie trudniejszą będzie aprowizacja, największą część mocno osoloną, zachował na cięższe czasy. Z żółwi, przeznaczonych na spożycie w świeżym stanie, codziennie gotowano teraz rosół, a nietylko Tartelett rozkoszował się wyśmienitym jego smakiem.

Poza tem jednem zdarzeniem, nic nie urozmaicało jednostajnego trybu życia. Codziennie w tych samych godzinach spełniano te same zajęcia, a God-

frey nie bez lęku myślał, o ile jeszcze nudniej będzie w zimie, gdy większą część czasu muszą spędzać w domostwie. Co jednak począć?

W dalszym ciągu odbywał wycieczki po wyspie, niemal zawsze w towarzystwie Karefinota, gdyż Tartelett wołał siedzieć w domu. Nie miał w sobie żyłki myśliwskiej, pomimo, że pierwszy jego i jedyny strzał był arcydziełem, którem nie przestawał się chełpić. Podczas jednej z takich wycieczek zdarzył się wypadek, który poważnie zaniepokoił mieszkańców wyspy, nie liczących się z możliwością podobnego niebezpieczeństwa.

Godfrey od rana polował w lesie, ciągnącym się u stóp pagórka, ale oprócz kilku antylop, które przemknęły w zbyt wielkiej odległości, by mógł do nich wymierzyć, nie udało mu się jakoś napotkać



Jedynym środkiem było obrócenie żółwia na grzbiet.

zwierzyny. Postanowił przeto wrócić tym razem bez łupu, zwłaszcza, że miał w domu znaczne zapasy mięsa, a chodziło mu raczej o skóry zwierząt, ze względu na zbliżającą się zimę.

Była już trzecia po południu, więc należało pomyśleć o powrocie, by stawić się tam w zwykłej porze obiadowej. Wtem na samym skraju lasu, Karefinotu wykonał gwałtowny skok i zanim Godfrey miał czas się opamiętać, dziki pochwycił go za ramiona i z całej siły pociągnął za sobą. O oporze nie mogło być mowy, gdyż Murzyn z wytężeniem wszystkich sił ciągnął go naprzód i dopiero po kilku minutach przystanął, dysząc z nadmiernego wysiłku. Wtedy Godfrey, zwróciwszy na dzikiego pytające spojrzenie, potrząsnął jego ramieniem, domagając się wyjaśnienia.

Karefinotu, nieprzytomny ze strachu, wyciągnął rękę i wskazał zwierzę, stojące nieruchomo w odległości może 50 kroków. Był to szary niedźwiedź, który potężnemi łapami obejmując pień drzewa, potrząsał strasznym łbem, jakgdyby rozważał zamiar rzucenia się na dwóch myśliwych.

W okamgnieniu, nie tracąc czasu na zastanawianie się, Godfrey podniósł strzelbę i wymierzył, zanim Karefinotu zdołał go od tego powstrzymać.

Czy potworny zwierz został zraniony? Prawdopodobnie! Czy strzał był śmiertelny? Niewiadomo! To tylko pewne, że łapy jego, któremi obejmował drzewo, osunęły się, a niedźwiedź przewrócił się pod drzewem.

Nie było chwili czasu do stracenia! Walka z niedźwiedziem groziła niebezpieczeństwem, bo nawet najwprawniejsi myśliwi unikają starcia się bezpośredniego z tym zwierzem, o czem wie każdy, ktokolwiek polował w lasach Kalifornji. To też Murzyn chwycił Godfreya za ramię i zaczął biec z nim ku domostwu, a Godfrey uznając, że w danym wypadku jest to rzeczą najrozsądniejszą, nie stawiał mu oporu.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Jak Zosia sierotka została królową.

(Fantastyczne.)

Gadali o tem ludzie nie dzisiaj ani wczoraj, ale jeszcze dawniej, że za różanym gajem, na djamentowej górze siedział na srebrnym tronie złotopióry anioł. Był-ci on bardzo piękny, bogaty i dobry. Miał wielkie szklane skrzynie, napełnione złotem, srebrem i najróżniejszymi klejnotami. Ale dawał je tylko ludziom bezdomnym lub sierotom. Toteż dużo ich się tam wyprawiało; jednakże nie wszyscy otrzymywali te skarby, bo droga na oną górę prowadziła głębokim i bardzo wąskim jarem, tak wąskim, że ledwie małe dziecię przejść tamtędy mogło.

Więc ci, co widzieli z niska one skarby, a nie mogąc ich zdobyć, wracali stamtąd z ogromnym żalem do swoich domów. Była też między nimi jedna, strasznie biedna kobieta, Drobnotką zwana, która miała malutką, sześcioletnią córeczkę Zosię, dziewczynkę ładną choć bladą... Chodziła ona ze swą matusią do lasu, gdzie zbierały jagody lub grzyby, za które dostawały od ludzi parę kromek chleba i nieco mleka. To było ich jedynem pożywieniem. Lecz i ten los niedługo im sprzyjał.

Pewnego ranka, Drobnotka, zbierając sama w lesie jagody, została napadnięta przez wilka, który ją pożarł doszczętnie, bo drobną była kobietą. Zosia, nie mogąc się doczekać matki, i będąc głodną, pobiegła do lasu, aby jej poszukać. Ale nadaremnie. Schodziła wszystkie gęstwiny i knieje, lecz matusi nie znalazła. Jeno w pobliżu wielkiej sosny, zobaczyła napełniony jagodami dzbanuszek matczyn oraz pokrwawioną i poszarpaną chustkę z jej głowy.

Zabrała przeto jedno i drugie ze smutkiem ogromnym i poszła wolnym, dziecinnym krokiem do starej, walącej się chatki matczynej. Gdy weszła wreszcie do niej, pewien chłop, który tam już był, podawszy głodnej Zosi kromeczkę chleba — opowiedział jej, że kiedy szedł przez las, widział wilka, jak już dogryzał jej matkę. Ale że nie miał w ręku żadnej broni, więc sam musiał uciec, bo zwierz był ogromnie rozżarty...

Zosia po wysłuchaniu tej krwawej wieści, pokazała mu okrwawioną chustkę matki i zapłakała spazmatycznym serdecznym płaczem. Po chwili jednak udało się onemu chłopu uciszyć osieroconą Zosię. Wziął ją do siebie na służbę, gdzie pasła białe gąski na szmaragdowej murawie.

Raz, siedząc przy nich na łące, dumając i tęskniąc po swej matusi, zobaczyła nad sobą wielkiego srebrnego orła, który, potrzepotawszy chwilkę skrzydłami, usiadł tuż koło niej na trawie, ciekawie

się jej przyglądając. Zosią wstrząsnął dreszcz trwogi; lecz uspokoiła się, gdy on ptak przemówił do niej człowieczym głosem:

— A o czemże to marzysz, piękna gęsiareczko?

A ona westchnęła i odrzekła smętnie:

— Oj, czarna moja dola! Miałam ja matusię kochaną, lecz jej już nie mam! Ach! ten wilk niecnota, on to mi ją porwał... O, jam sierota nieboga!

I zapłakała smutnie Zosia. A orzeł zaczął ją pocieszać:

— Nie płaczże, nie płacz, moja ty dziewczynko kochana. Właśniem tu przyleciał, aby zmienić twoją dolę i żeby cię zaprowadzić na djamentową górę do złotego anioła, który cię obdarzy drogiemi klejnotami, za które zdobędziesz szczęście! Słyszałaś może już co kiedyś o tem?

— Ach, tak! Słyszałam ci ja o tem od mojej nieboszczki matusi. Alem nigdy tam nie szła, bom wiedziała, że nie dojdę, jako że słabem jestem dzieckiem.

— To ja cię tam zaniosę na swoim grzbiecie pod samą górę — mówił dalej orzeł — a ty już stamtąd sama pójdziesz do anioła po skarby!

— Więc dobrze, dobrze, mój kochany — szczebiotała Zosia — ale gąski? co z niemi będzie?

— Już ty się nie troszcz o nie — mówił orzeł — ja sobie z niemi dam radę.

I wzniósłszy się na skrzydłach w górę, tak okropnie załopotał niemi, że przestraszone gąski z gęganiem pofrunęły do domu. Potem usiadł przy Zosi i poleciwszy jej usiąść na sobie, rozpostarł olbrzymie skrzydła i poleciał z nią nad łąki, rzeki, pola — hen daleko, daleko... Wkońcu opadł z nią za różanym gajem u stóp djamentowej góry, gdzie Zosia, zszedłszy z niego, oraz podziękowawszy mu za wszystko, puściła się wąską szyją jaru hen, ku górze... do złotego anioła...

Słońce już wyszło wysoko na jasne niebo, kiedy, stanąwszy na szczycie góry; nieśmiało ale pięknie pokłoniła się aniołowi... Ten ją zapytał łagodnie:

— Czego sobie życzysz, dziecię, i jak się nazywasz?

— Skarbów twoich pragnę niedużo, złoty aniele, — mówiła prosząco — boć sierota jestem uboga, a nazywam się Zosia.

— Dobrze, Zosiu, weź sobie tych skarbów ile tylko chcesz i unieść zdołasz.

Tu wskazał ręką na otwarte skrzynie, błyszczące barwnemi skarbami.

— Możesz sobie wybrać, jakie jeno pragniesz — mówił znów słodko anioł — czy złoto, czy srebro, czy różnobarwne drogie kamienie.

Zosia wybrała sobie po kilkanaście z tych skarbów, zawiązała je we fartuszek i podziękowawszy i pokłoniwszy się aniołowi, poczęła schodzić wolno z djamentowej góry... Wnet zeszła z niej i, ucieszona znalazła się w cieniu krzów różanego gaju. A właśnie był piękny odwieczerz majowy. Tęczowe kwiaty róż majaczyły w różowych tumanach odurzającej woni. Ptaki niebieskie i czerwone śpiewały czarownie, a przecudne motyle i pszczółki unosiły się nad rozkwitniętą grzędą gajowego kwiecia. — Tu spotkała pięknego chłopczyka, który, ujrzawszy ją, wykrzyknął radośnie:

— Hej, dzieweczko, a skądże to idziesz i kto ty jesteś? Mówże mi prędzej, boś taka piękna i słodka, że bez ciebie nie mogę żyć!

A ona mu odpowiedziała:

— Zosia jestem sierotka, a idę z djamentowej góry ze skarbami anielskiemi.

— A to, a to radość dla mnie, bo ja jestem królewiczem Tadziem i ten gaj do mnie należy. Jestem jedynakiem u moich rodziców. Nie mam żadnej siostrzyczki ani braciszka. Teraz już jesteś moja, Zosieńko! Kazałem ci ja swojemu czarownikowi, aby, zmieniwszy swoją postać, wyszukał i przyniósł mi piękną towarzyszkę życia. I oto dziś przyleciał do mnie orłem i oznajmił mi, że znalazł taką gdzieś na łące, którą zabrawszy od białych gąsek, przyniósł tu pod oną górę, o której gadałaś mi, Zosiu złota.

— O tak, o tak królewiczu miły, Tadziu — wyznawała Zosia — ja właśnie nią jestem. Mam ci ja stareńką chatkę po matusi mojej, gdziebym mogła żyć — lecz kiedy sobie życzysz, żebym była twoją, to chętnie pójdę do ciebie... A gdzie ty masz dom, Tadziu złoty?

— Ot, niedaleko, zaraz za tym gajem. Jest to bardzo piękny pałac z drogich kamieni i złota.

— Więc pójdźmy, kiedy tak — rzekła uszczęśliwiona Zosia — niech będzie jako chcesz.

I ujął ją za drobną rączkę, wyręczył z dźwigania klejnotów i, patrząc jej w rozrumienioną twarzyczkę, rzekł:

— W pałacu mego ojca będziesz ich miała miljon razy więcej!

Zosia zaśmiała się radośnie, pozierając błękitnemi oczkami w rumianą twarzyczkę Tadzia. I szli tak oboje, on w czerwonym płaszczyku, ozdobionym perłami, w niebieskim kapelusiku na jasnowłosej główinie i w pantofelkach z zielonego jedwabiu; ona w szarej, płótnianej sukience, o złotowłosej główce, z rzędem czerwonych korali na białuchnej szyi i z bosemi, cienkiemi nóżkami.

Za chwilkę weszli do pałacu ojca Tadzika, gdzie oboje królestwo ucieszyli się wielce z oblubienicy swego jedynaka, Zosi. Po przebraniu jej w najkraśniejsze stroje, wyprawili wielką ucztę radosną. Potem chodziła Zosia z Tadziem do ogrodu pałacowego i różanego gaju, kędy oboje słuchali brzęczenia pszczółek, śpiewu słowików, oraz biegali uśmiechnięci za krasnemi motylami. Tak im upłynął rozkoszny ranek życia. Zosia była bardzo szczęśliwa. Zapomniała o smutnej przeszłości. A czarownik-orzeł nosił ich na sobie nad cudną panoramą Tadziowej ojczyzny.

A kiedy Zosia doszła do szesnastego roku życia, wówczas ośmnastoletni królewicz Tadzio połączył się z nią na wieki małżeńskim ślubem. I jeszcze do dziśdnia żyją i królują chwalebnie, a ja jestem ich najwierniejszym paziem. *Jan Matuszkiewicz.*

Sen o wiośnie.

Wczorajszą nocą zimową
Śniła mi się wiosna,
Z koroną słońca tęczową,
Czarowna, radosna.

Szła pachnącym łąk kobiercem
Do naszej Ojczyzny —
By ukoić dobrem sercem
Ludzkiej doli blizny...

Błogosławić naszej roli
Nowym siewom, kwiatom,
Naszej braci w lepszej doli,
Rozjaśnionym chatom!

Józef Pachołek.

Poradnik gospodarczy.

Hodowla bydła rogatego.

Stajnia powinna być zimą ciepła, a latem chłodna, zawsze przewietrzana, aby bydło, czy starsze czy młodsze, nie oddychało śmierdzącem, a więc zepsutem powietrzem; powinna być jasną, bo każde żyjące stworzenie światła szuka, jakby wiedząc, że promienie słoneczne potrzebne mu do zdrowia. Szczególnie też o to starać się potrzeba, aby stajnia miała jeżeli już nie drzwi, to przynajmniej okna od strony wschodzącego słońca. Tak urządzona stajnia będzie zimą wesoła, a latem niezbyt gorąca. W stajni, rannem słońcem oświetlonej, będzie latem mniej much, których niepodobna pozbyć się w stajence, mającej drzwi i okna od południowej, a zwłaszcza od zachodniej strony. Stajnia, nie widząca nigdy wewnątrz słońca, a takiemi bywają, gdy drzwi od północnej strony urządzono, nie jest zdrowa, bo wilgoć nigdy w niej nie wysycha, a zimą ogrzewa się bardzo trudno.

Tak ze względu na zdrowie zwierząt, jakoteż w celu urabiania wielkiej ilości dobrego obornika, potrzeba, aby podłoga w stajni była zawsze szczelna, nieprzepuszczalna. Gdzie więc bydło stoi na podłodze z drzewa, potrzeba dać ją tak szczelnie, aby gnojówka pod podłogę nie wsiąkała, tylko aby rynnami, spadzisto ułożonemi, odpływała do zbiornika gnojówki, urządzonego poza oborą, na podwórzu.

Zbiornik taki powinien być dnem zawsze nakryty, aby dziecko lub bydlę nie mogło weń wpaść; dla bezpieczeństwa lepiej taki kącik, w którym wykopano studnię na gnojówkę, ogrodzić płotem, aby nawet kura się tam nie dostała.

Inny znowu sposób urządzenia stajni jest prostszym i dla gospodarstw naszych odpowiedniejszym, albowiem żadnych podłóg ani odcieków dla gnojówki budować nie potrzeba, tylko bydło stoi na ubitej z gliny posadzce, niby na boisku, na które podściela się codziennie słoma, krajana na półłokciowe kawały. Że zaś pod zadem bydła gnoju więcej przybywa, więc potrzeba codziennie gnój pod bydłem porównać i, urównawszy, potrząsnąć suchą ziemią, lub suchym miałem torfowym. W proszek taki nietylko gnojówka, ale także uloty z rozkładającego się gnoju wsiąkają i powietrze jest w stajni, gdzie bydło stoi na gnoju, znacznie czyściejsze, niż w stajni, z której się codziennie gnój z pod bydła uprząta, a gnojówka w rynsztokach stoi.

Gnój zresztą przechowuje się pod bydłem najlepiej i jest dwa razy żyźniejszy, niż przechowany na najlepszej gnojowni.

Kto więc bydło na gnoju utrzymywać zamierza, niechaj przygotuje zapas miału torfowego, a w braku tego, próchnicznej ziemi, ale niechaj przechowa ten zapas pod dachem, blisko stajni dla krów; obok tego niechaj słomę, przeznaczoną na ściółkę, zachowa w suchem miejscu i niechaj ją tnie na kawały nie dłuższe, niż pół łokcia, bo krótkie źdźbła słomy pochłaniają prędzej i większe ilości gnojówki, niż słoma zmierzwiona, lecz z długich źdźbeł się składająca. Obok tej zalety ciętej słomy, zrozumie każdy, że gnój, z krótkiego podściołu uzyskany, da się urównać w stajni bez trudu, na wozy kładzie się dobrze, a co najważniejsza, przegnije wszędzie równo i można go będzie w polu roztrząsnąć bardzo dokładnie i wszędzie równo rozłożyć, przyorze się bez nagrabiania bardzo dobrze i prędko się z cząsteczkami skiby pomięsza — a to są dogodności, które sowicie wynagrodzą gospodarza za odrobinę pracy, na cięcie pościołu łożonej.

Aby stajnia była ciepłą, potrzeba zaopatrzyć ją od zimna w jesieni bardzo troskliwie, więc polepę poprawić i gliną wymazać dość wcześnie; ściany, jeśli cienkie, obgacić mchem, igliwiem i t. p. W braku tego obstawić ściany stajenki okłotami, to jest snopami prostej słomy, okna zaszklić, drzwi poprawić, aby się przymykały szczelnie.

Ważną też przestrogę podaję gospodarzom, aby utrzymywali porządek w stajni regularnie. I tak: obmiatanie sufitu i ścian wprowadzić co sobotę, a przynajmniej dwa razy w roku wybielić sufit i ściany wapnem, co wszystko przyczyni się do utrzymania zdrowia bydła.

Budując nową stajnię, potrzeba wielkość jej zastosować do ilości bydła, ale nigdy nie budować stajni ciasnej. U gospodarza, dbałego o swoją rolę i łąkę, będzie z każdym rokiem więcej paszy, potrzeba więc będzie wkrótce powiększyć ilość chowanego bydła rogatego. Gdy zaś nieprzewidziany nieurodzaj paszy zmusi gospodarza do zmniejszenia ilości bydła i stajnia próżna byłaby zimną, można jej część pewną założyć ściółką lub snopami prostej słomy, aby próżnię wypełnić, co ochłodzeniu stajni zapobieży. W budynku dość obszernym łatwo będzie, szczególniej gdzie większą ilość bydła się chowa, oddzielić kącik na urabianie paszy.

W obszernej, widnej, a ciepłej na zimę stajni pomieści się więcej gnoju, a ustawienie bydła rogatego różnego wieku nie napotka na trudności — owszem, zawsze będzie mogło bydło stać tak, aby obsługa jego była, ile można, ułatwioną, a ścisły dozór, tak robotnika, jak oskomy (apetytu) każdej sztuki, co najlepiej o zdrowiu bydlęcia świadczy, był możebnym.

Nawożenie ozimin.

Ogólne zaniechanie zasilania ozimin w roku obecnym przekona niewątpliwie naocznie nawet największego niedowiarka, jakie straty wskutek tego powstają. Zaś rolnik, który zasilił oziminy jesienią nawozami pomocniczemi, będzie zbierał w dwójnasób. Wiadomo bowiem, że oziminy potrzebują, obojętnie w jakiem stanowisku przychodzą, ba nawet po mierzwie lub nią nawożonych okopowych jako przedplonu, pomocniczego zasilania nawozami pomocniczemi, a szczególnie fosforowemi. Jakiego więc nawozu użyć pod te rośliny o długim czasokresie wegetacyjnym?

Otóż nauka i praktyka jest z tem zgodna, że z nawozów fosforowych tomasyna słusznie zajmuje tu uprzywilejowane miejsce. Działa ona wolniej, poddając oziminom w miarę potrzeby od wzrostu aż do kwitnięcia konieczne jej potrzebny i bez najmniejszych strat działający kwas fosforowy. Przyczynia się wobec wysokiej zawartości skutecznego wapna (40—60%) do odkwaszania gruntów, co szczególne ma znaczenie na ziemiach niedrenowanych, skłonnych, jak wiadomo, bardzo do zakwaszania się. Nie podlega wypłukaniu nawet przez słoty jesienne i roztopy wiosenne. Nie łączy się w żadne trudno rozpuszczalne związki, co szczególne ma znaczenie na glebach, zawierających żelazo, występujących w Polsce w tak wielkich obszarach.

Jest więc tomasyna, jak dowiodły tysiączne doświadczenia, pod oziminy, a zwłaszcza pod żyto, jedynym nawozem fosforowym, który nie zawiedzie pokładanych w nim nadziei, przynosząc pewną i sowitą rentę.

Nietylko żyto, lecz nawet i pszenica po gnoju i w uprzywilejowanem stanowisku po koniczynie musi być bezwarunkowo nawożona tomasyną, jeśli się nie chce ponieść poważnych strat przez zniżkę ogólnych plonów, a szczególniej ziarna. 300—400 kg dawka tomasyny na hektar opłaci zdumiewająco wysoko wyłożony nakład pieniężny, a przeciwnie zaniechanie tego nawożenia odbije się fatalnie na plonach pszenicy.

Lecz nietylko w roku, w którym zastosowaliśmy tomasynę, mamy z tego tak wielkie korzyści, ale i, jak dowiodły ostatnie, przy szkołach rolniczych W. I. R. przeprowadzone doświadczenia, które opisał p. Dr Celichowski, nawet w roku następnym skuteczna działalność kwasu fosforowego tomasyny i tu na plonach roślin zasianych, przynosząc nieraz niebywale wysoką rentę.

Niewątpliwie i w tem leży jej przewaga nad innemi nawozami fosforowemi, czem się też tłumaczy utarte słuszne zapatrywanie ogółu rolniczego, że pod oziminy najlepszym i najrentowniejszym nawozem fosforowym jest od dawien dawna wypróbowana tomasyna.

Z. Łukaczyński, dypl. agr.

KRONIKA.

Druga nadzwyczajna sesja Sejmu zostanie zwołana na koniec maja. Przygotowania do niej trwają w całej pełni. Na sesji tej minister skarbu zamierza zgłosić projekt ustawy o podatku od tantjem. Również w ministerstwie reform rolnych uzgadniane są rozmaite projekty ustaw, między innemi projekt ustawy o uwłaszczeniu drobnych włościan oraz o niepodzielności gruntów włościańskich. Najważniejszą jednak ustawą, nad którą pracować będzie nowa sesja nadzwyczajna jest pragmatyka urzędnicza. Projekt pragmatyki ma być w najbliższych dniach przedstawiony marszałkowi Piłsudskiemu. Jak podają gazety codzienne, pragmatyka ta będzie bardzo niekorzystna dla urzędników. O ileby to było prawdą, to stałoby się w myśl przysłowia, że nieszczęście zawsze chodzi w parze.

Reforma kalendarza. W najbliższym czasie rozpoczną się obrady komisji dla reformy kalendarza przy Lidze Narodów w Genewie Reforma polegać ma na podziale na 13 czterotygodniowych miesięcy, przyczem nowy miesiąc, zwany „Słoneczny“, mieściłby się między czerwcem a lipcem. 365-ty dzień w roku byłby dniem wolnym, obchodzonym uroczyście przez cały świat. W latach przestępnych drugim takim dniem byłby Dzień Przestępny między 29 czerwca a 1 miesiąca słonecznego. Jedna dogodność nowego kalendarza polega na tem, że odpowiednie dni tygodnia przypadałyby zawsze na te same daty. Na niedziele obrano 1, 8, 15 i 22 każdego miesiąca, na czwartki 5, 12, 19 i 26 i t. d. Święta ruchome zostałyby ściśle ustalone, Wielkanoc 15 kwietnia, Boże Narodzenie poniedziałek 23 grudnia. Na zmianę kalendarza dotychczas wyraziło zgodę swoją duchowieństwo protestanckie. Najprawdopodobniej kościół katolicki również nie wniesie w tej sprawie protestu. O ile komisja ekspertów uzna projektowaną reformę za pożyteczną i poszczególne kraje ją zaratyfikują, od dnia 1 stycznia 1934 r. zostanie wprowadzony nowy kalendarz.

Tragedja ubogiej rodziny. Onegdaj w cichem i spokojnem miasteczku Łyścu koło Stanisławowa zdarzył się wypadek, który ze względu na towarzyszące mu okoliczności, wywołał ogromne wrażenie. Oto w Łyścu mieszkała uboga rodzina Hallerów. Swego czasu byli to ludzie zamożni. Ostatnio Haller stracił cały swój dobytek i została mu jedynie chuda krowa, którą za radą swej żony postanowił sprzedać, lecz kiedy wyprowadził ją na jarmark, dawano mu tak małą sumę, że nie mógł za nią uruchomić swojego prymitywnego kramiku. Z bólem wracał więc biedny Haller do domu, prowadząc na sznurze swą krowę. Tej nocy rodzina Hallerów zasnęła bez kolacji. I kiedy rano żona Hallera poszła do stajni, by wydoić krowę, zastała już tylko jej trupa. Źle odżywiana, przeforsowana drogą na jarmark, jedyna żywicielka ubogiej rodziny, zdechła. Żona Hallera zrobiła wyrzut swemu mężowi, dlaczego mimo jej próśb, krowy nie sprzedał. Fakt ten do reszty dobił całą rodzinę, która została bez środków utrzymania. Tymczasem tego samego dnia wrócił z uniwersytetu syn Hallerów, a matka opowiedziała mu, w jakiej nędzy są pogrążeni, tudzież o ostatnim zdarzeniu z krową. Wówczas syn zapłonął gwałtowną nienawiścią do ojca i kiedy ten wszedł do mieszkania, napadł go i począł bić; nieszczęsny ojciec od razów, zadanych przez syna, po kilku godzinach zmarł. Wieść ta natychmiast rozeszła się po miasteczku. Ludzie, dowiedziawszy się o strasznym czynie zwyrodniałego syna, chcieli go zlynczować, lecz ten samochodem uciekł w niewiadomym kierunku.

Wójt mimowolnym zabójcą. Z Sambora donoszą, iż w gminie Kornica, powiat Sambor, naczelnik tej gminy Ilko Jurkies w czasie sprzeczki zastrzelił gospodarza Rozjana Paculę. Wypadek ten nastąpił późnym wieczorem na podwórzu urzędu gminnego w chwili, gdy znajdowało się tam kilka osób, którzy rozpoczęli bójkę, przyczem zamierzali oni pobić wójta. Naczelnik gminy, chcąc odstraszyć napastników, stanął w drzwiach i strzelił na postrach jednak tak fatalnie, iż kula ugodziła Paculę, który poniósł śmierć na miejscu.

Samobójstwo sędziego. Onegdaj w mieszkaniu rodziców swych w Złoczowie wystrzałem z rewolweru pozbawił się życia sędzia sądu grodzkiego w Nowem Siole, pow. Zbaraż, Tadeusz Podgórski. Przyczyna samobójstwa nieznana.

Kara za fałszowanie dolarów. Przed trybunałem przysięgłych w Tarnopolu odbyła się rozprawa przeciwko Semkowi Terazowi, 25-letniemu krawcowi, oskarżonemu o podrabianie banknotów dolarowych. Pozatem na ławie oskarżonych zasiedli dwaj osobnicy, oskarżeni o puszczanie w obieg fałszywych banknotów. Po przeprowadzonej rozprawie i przesłuchaniu świadków, trybunał skazał Teraza na półtora roku ciężkiego więzienia, zaś dwóch jego pomocników na karę po 8 miesięcy ciężkiego więzienia.

Samobójstwo ślepego starca. Wstrząsający wypadek samobójstwa zdarzył się we wsi Popiel w powiecie drohobyckim. Oto zamieszkały tam Andrzej Choławka, liczący lat 76, dotarł po omacku (pozbawiony był wzroku) do stodoły, gdzie po ciężkich usiłowaniach powiesił się na belce, ponosząc niebawem upragnioną śmierć. Kilka miesięcy temu denat wskutek nieszczęśliwego wypadku nabawił się niebezpiecznej choroby oczu, w następstwie czego stracił wzrok. Popadł następnie w melancholję, co go popchnęło do tragicznego kroku.

Napad na autobus. W Pabjanicach do stojącego autobusu, obliczonego na 70 pasażerów, zbliżyło się 4 osobników, którzy wszczęli z pasażerami awanturę, rozbili głowę łomem żelaznym jednemu z nich, a następnie rozbili drzwi autobusu i zasypali autobus gradem kamieni. Jeden z napastników usiłował w tym czasie sterroryzować rewolwerem siedzących w autobusie

pasażerów. Na bombardowanie kamieniami siedzący w autobusie odpowiedzieli strzałami rewolwerowemi. Napastnicy rzucili się do ucieczki. Jednego z nich policja ujęła. Okazało się, iż jest to niejaki Wojna, właściciel samochodu. Z pośród pasażerów ciężko ranionych zostało kilka osób. Władze policyjne prowadzą śledztwo, celem ujawnienia przyczyn napadu.

Silna burza z nawałnicą i gradem nawiedziła w ubiegłym tygodniu Poznań. Wyrządziła ona bardzo duże szkody nietylko w polach i ogrodach, zwłaszcza warzywnych, ale i w mieście. Woda zalała mnóstwo mieszkań niżej położonych, jakoteż dużo sklepów i magazynów. Straż pożarna w kilkudziesięciu wypadkach była wzywana, celem przeprowadzenia akcji ratunkowej. Między innemi woda wdarła się do piwnic na dworcu głównym, w starostwie, sądzie grodzkim, więzieniu, koszar i t. d. Najwięcej ucierpiały mieszkania i sutereny w północnej części Poznania. Przy ulicy Bydgoskiej w zalanej piwnicy utonął stolarz Grabianowski, lat 46, który usiłował wydobyć z niej wartościowe przedmioty.

200 pretendentów do fikcyjnego spadku. Przed rokiem rozeszła się na Górnym Śląsku pogłoska, iż zmarły w Ameryce mieszkaniec wsi Woźniki, J. Wyleżałek, pozostawił po sobie spadek w wysokości 200 miljonów dolarów. Wiadomość ta miała być z Woźnik przesłana do województwa w Katowicach, gdzie zaginęła. Na tem tle powstało mnóstwo plotek i domysłów, skierowanych pod adresem województwa i wybitniejszych urzędników. Epilogiem tej zagadkowej sprawy będzie w dniu 16 b. m. specjalna rozprawa sądowa. Wszyscy Wyleżałkowie na Śląsku, a jest ich coś dwustu, złączyli się we wspólny związek, celem dochodzenia praw do spadku. Podobno jednak, cały „spadek" jest w rzeczywistości zwyczajną plotką jakiegoś pokątnego doradcy, który tym sposobem chciał się dorobić na rzekomych sukcesorach.

Dzielna kobieta. Z Bydgoszczy donoszą: Dwaj bandyci dokonali napadu na mieszkanie domu Albiny Cielskiej w Strzelcach Dolnych w pow. bydgoskim. Cielska, zbudzona ze snu szmerami, ujrzała przez okno wdrapujących się do mieszkania dwóch zamaskowanych bandytów. Nie tracąc przytomności umysłu, podbiegła do okna i starała się bandytów zepchnąć na zewnątrz. Jeden z bandytów dobywszy rewolweru, strzelił do Cielskiej, raniąc ją ciężko w lewe przedramię. Mimo to Cielska broniła się nadal bardzo dzielnie. Wtedy drugi bandyta strzelił powtórnie, raniąc ją w głowę. Gdy ofiara napaści padła nieprzytomna na ziemię, obaj bandyci, porozbijawszy siekierą komodę i szafy, skradli 1.200 zł. gotówką oraz złoty łańcuszek, poczem zbiegli przez okno i zniknęli pod osłoną nocy. Zaalarmowany posterunek policji wszczął pościg, dotychczas jednak bez rezultatu.

Wojownicza żona. Z Wilna donoszą: Onegdaj wieczorem do posterunku policyjnego w Gródku koło Mołodeczna wpadł zadyszany mieszkaniec wsi Dorochy Mikołaj Doroch lat 24 i podnieconym głosem oświadczył, że zamordował swoją żonę Helenę. Dorocha zatrzymano a na miejsce wypadku wydelegowano policjantów, którzy ustalili następujące szczegóły zajścia. Pomiędzy Dorochem a jego młodą żoną często wynikały nieporozumienia, kończące się ostremi kłótniami. W krytycznym dniu pomiędzy małżonkami wynikła znowu kłótnia, która przemieniła się następnie w bójkę. Zawadjacka małżonka Dorocha pochwyciła kuchenny nóż i zadała mężowi kilka ciętych ran. Doroch w obronie własnej porwał wiszącą na ścianie „obrezankę" i wystrzelił w kierunku żony, trafiając ją w ramię. Nie ochłodziło to temperamentu Dorochowej, która w dalszym ciągu rzucała się na męża. Wówczas Doroch strzelił po raz drugi, raniąc ją w szczękę, poczem myśląc, że zabił, pobiegł na posterunek policji. Ranną Dorochową przewieziono do szpitala. Mikołaja Dorocha osadzono w areszcie.

Były poseł denuncjantem. Gazety wileńskie donoszą z Mińska, że w drugiej połowie kwietnia b. r. na terenie Białorusi sowieckiej dokonano szeregu aresztowań wśród inteligencji, a zwłaszcza nauczycielstwa. Uwięzionym GPU wytoczyło rozprawę na podstawie oskarżenia b. posła Hromady Rak Michajłowskiego, zbiegłego z Polski, który będąc w r. 1919 członkiem białoruskiej komisji wojskowej, oskarżył obecnie dawnych współpracowników o rzekomy ich udział w formowaniu oddziałów polsko-ruskich podczas wojny polsko-bolszewickiej.

Ceny w Moskwie dla cudzoziemców. Donoszą z Moskwy: W kooperatywach dla cudzoziemców, zamieszkujących w Moskwie i mogących w dowolnej ilości otrzymywać artykuły pierwszej potrzeby, zostały wprowadzone stałe ceny na towary. Kilogram masła śmietankowego można otrzymać za 10 dolarów, jajka za pół dolara, kilogram sera szwajcarskiego 5 dolarów. Zarządzenie to wywołało oburzenie w kołach dyplomatów, przebywających w Moskwie. Mają oni zamiar zwrócić się do swych rządów z prośbą, aby co tydzień wysyłano z Warszawy i Rygi wagon żywności po cenach rynkowych Polski i Łotwy, gdyż wyżycie przy ustanowionych tak horendalnych cenach jest niemożliwe.

Pomnik „nieznanego konia". Do jakiego absurdu dochodzą nieraz pomysły ludzkie, świadczy następujący fakt. Oto w Paryżu utworzył się specjalny komitet, który postawił sobie za zadanie wzniesienie pomnika ku czci 1 200.000 koni, zabitych w wojnie światowej. Przeciwko działalności tego komitetu wystąpił z ostrym protestem na łamach gazety były wiceminister oświaty Lotier. Z równą słusznością — pisze on — możnaby wznieść pomnik ku czci wołów, któreśmy zjedli podczas wojny, jak i cieląt, których skórę przerobiono na buty. Sprawa pomnika „nieznanego konia" jest przedmiotem żywej dyskusji wielu gazet francuskich.

Tragiczna przejażdżka po jeziorze. Na jeziorze bodeńskiem wydarzyła się tragiczna katastrofa. Członkowie Marinenverein z Friedrichshafen w liczbie 11 osób, przeważnie młodzieńcy poniżej 20 lat, wyjechali kutrem na jezioro, aby dotrzeć do brzegu szwajcarskiego. Gdy znaleźli się w połowie jeziora, wysoka fala zalała kuter i wszyscy uczestnicy wpadli do wody. 10 utonęło natychmiast, 11-go, który kurczowo przez dłuższy czas trzymał się wywróconego do góry dnem kutra, wyratował statek, zdążający do Lindau.

Całun Chrystusa. W Turynie odbyła się podniosła uroczystość religijna otwarcia srebrnej skrzyni, zawierającej całun Chrystusowy. Na uroczystości obecni byli: książę następca tronu, jako reprezentant króla, arcybiskup Turynu w otoczeniu 19 biskupów oraz książęta i księżniczki domu królewskiego. Po wyjęciu ze srebrnej skrzyni całun został wystawiony na widok publiczny, na głównym ołtarzu w katedrze wśród głębokiego wzruszenia zebranych rzesz wiernych. Po kazaniu, wygłoszonem przez arcybiskupa, zostało odprawione dziękczynne „Te Deum". Liczni pielgrzymi włoscy i zagraniczni mają przybyć niebawem dla obejrzenia tej świętej relikwji. Olbrzymie tłumy składały hołd tej świętej szacie Chrystusowej w katedrze św. Jana. Arcybiskup w otoczeniu prałatów włoskich i cudzoziemskich odprawił uroczyste nabożeństwo przy całunie. W godzinach popołudniowych arystokracja włoska udała się w pochodzie do katedry w celu złożenia hołdu najświętszej relikwji. Oczekiwane jest przybycie prymasa Polski ks. kardynała Hlonda.

Wielki wybuch w Brazylji. Z Rio de Janeiro donoszą: W laboratorjum brazylijskiej marynarki wojennej w Nitheroy, nad zatoką Rio, wydarzył się straszny wybuch w dziale, w którym wypełnia się torpedy bawełną strzelniczą. Siła wybuchu była tak straszna, że wszystkie zabudowania na wielkiej przestrzeni legły w gruzach lub zostały poważnie uszkodzone. W chwili wybuchu zajętych było w laboratorjum ponad 400 osób, z których niespełna połowa ocalała. Reszta, ponad 200 osób, zginęła lub odniosła rany. Podjęto natychmiast akcję ratunkową, która w chwili obecnej trwa w dalszym ciągu.

Ośmnaście lat w oczekiwaniu na śmierć. Wypadek Sama Carolla jest wypadkiem potwornym w swem okrucieństwie. A jednak gazety amerykańskie doniosły o nim krótko, bez komentarzy: „Sam Caroll, skazany za morderstwo przed 18 laty na śmierć, zostanie obecnie stracony". Myślącego czytelnika musi uderzyć nawet ta krótka notatka. Jakto? Przed 18 laty skazany, teraz zostanie stracony? Ośmnaście lat czekał na śmierć, którą mu wyrokiem przysądzono? Czy to możliwe? Jak się ta sprawa przedstawia? W r. 1913 sąd w Arizonie skazał na śmierć Sama Carolla. Wyroku jednak nie wykonano, gdyż adwokaci założyli apelację. Sąd apelacyjny wyrok zatwierdził i Sama Carolla przewieziono do celi skazańców, gdzie czekał na fotel elektryczny. Właśnie wtedy w stanie Arizona zniesiono karę śmierci. Żaden obywatel Arizony nie mógł być stracony. Oczywiście, Sam Caroll także. Mechanicznie kara śmierci została mu zmieniona na karę dożywotniego więzienia. Tymczasem w roku 1918 kara śmierci została przywrócona w Arizonie. I teraz dopiero sprawa Sama Carolla stała się zagadnieniem. Obrona trzymała się tezy, że człowiekowi, raz ułaskawionemu, przysługuje ta łaska już do końca życia, tak, jak raz stracony nie ożyje, mimo że zmienią się prawa. Prokurator żądał kary śmierci na tej zasadzie, że skoro powróciła ona w Arizonie, to Sam Caroll musi zginąć na zasadzie wyroku sądowego. Dyskusja nad tem, czy Caroll ma być stracony, czy nie, trwała 13 lat. Przez 13 lat co rano nieszczęśliwy Sam Caroll budził się z myślą, że może dziś poprowadzą go na fotel elektryczny. Wreszcie wyczerpały się siły obrony i sędzia wydał wyrok decydujący obecnie po 18 latach śmierć Sama Carolla. Sędzia nie postawił sobie pytania, które musiałby postawić każdy, czujący i myślący człowiek. Pytania, czy możliwe jest stracenie człowieka w 18 lat po wyroku, i czy człowiek ten nie umierał już tysiące razy w najwyszukańszych męczarniach. Za Samem Carollem nie stoi tak gromadnie opinja publiczna, jak w swoim czasie za Sacco i Vanzettim, gdyż Sam Caroll istotnie popełnił przestępstwo, za które go stracono. Ale czyż opinja nie powinna wielkim głosem stanąć w obronie tego człowieka, który kona powolną śmiercią od lat ośmnastu.

Mężczyzna na sprzedaż. „Mężczyzna lat 36 do nabycia za niską cenę 250 dolarów". Ogłoszenie tej treści, jak podaje prasa amerykańska, ukazało się w miejscowej gazecie w Hoboken. Tym, który w ten sposób ofiaruje się na sprzedaż, jest niejaki Piotr Ross. Po wyjściu ze szpitala, gdzie przeszedł operację nogi, nie mając środków do życia i nie mogąc nigdzie znaleźć pracy, nieszczęśliwy ten człowiek postanowił „wystawić się" na sprzedaż za niezwykle niską cenę 250 dolarów. Ross przyrzeka, że będzie pracował spełniając wszystkie rozkazy swego właściciela za skromne utrzymanie. Nabywcą zostać może kobieta lub mężczyzna. Na zakończenie oświadcza ten produkt dzisiejszych warunków życiowych, że gotów jest nawet pójść za kogoś do więzienia.

Prezydent miasta włóczęgą. Prezydent miasta Filadelfji w Stanach Zjednoczonych, Mackey, w przebraniu włóczęgi, ucharakteryzowany odpowiednio, przez trzy noce spał w przytułku miejskim dla bezdomnych i jadał z garnuszka w kuchni dożywiającej bezrobotnych. Prezydent miasta, wobec licznych skarg na wiecach bezrobotnych, chciał się przekonać, jak funkcjonuje miejska opieka społeczna. Na zgromadzeniu bezrobotnych, kiedy znowu podnoszono żale, że biedaków traktuje się nie po ludzku, prezydent miasta wstąpił na mownicę i zaprzeczył wszystkiemu. Na dowód, ze mówi prawdę, pokazał zebranym kilka fotografij, które ukradkiem zostały sporządzone podczas jego tajemniczych wizyt. Gazety amerykańskie wyrażają przekonanie, że Mackey nie postąpił po „prezydencku", bo w regule prezydenci miast i inni dygnitarze tego nie czynią, ale postąpił po ludzku.

Polowania w Ameryce. W lasach Ameryki Północnej inaczej polują na zwierzynę niż u nas. Nie są im obce nasze sposoby i stosują je nieraz, ale przeważnie zachowały się dawne formy polowania. Jedną z nich, najczęściej stosowaną, jest tak zwany cowboy. Polega on na tem, że jeden albo dwóch lub więcej nagania zwierzynę w kierunku, gdzie stoją jeźdźcy z rozciągniętym długim sznurem, mającym wielką pętlicę w środku.



Zwierzyna, wypędzona hałasem z legowiska, rusza naprzód i wpada na nastawioną pułapkę. Jest to drugi rodzaj sznura, zwanego lasso. Pierwszy polega na tem, że długi sznur, zakończony kulką, zarzuca jeden jeździec na upatrzoną ofiarę i okręca nim zwierzę czy człowieka. Sposób ten znany był dawno, a szczególnie doświadczyliśmy go my, kiedy to Tatarzy napadali na nasze wsie i miasta i zapomocą sznurów wyłapywali ludność.

Biały ludożerca. Z Nowego Jorku nadesłano sensacyjną wiadomość: Amerykański badacz William Seabrook wydał świeżo książkę o swoich przeżyciach wśród plemion zachodniej Afryki. Książka amerykańskiego podróżnika obudziła powszechne zainteresowanie, tembardziej, że obfituje w sensacyjne naprawdę szczegóły. William Seabrook wyznaje w swej książce zupełnie otwarcie, iż podczas pobytu w zachodniej Afryce spożywał mięso ludzkie. Ludność miejscowa zapoznała Seabrooka ze wszystkiemi tajnikami „kulinarnej sztuki ludożerczej", które uczony amerykański opisuje szczegółowo w swej książce. Jako niezwykle smaczny „specjał", należący do rzędu najwybredniejszych „delikatesów", polecana jest przez dzikie plemiona zachodniej Afryki dłoń ludzka. Nieprzyjaciele, zabijani w walce, nadziewani byli przez ludność miejscową na spisy i tak gotowani i opiekani na wolnym ogniu. W jednej z takich ceremonij Seabrook uczestniczył osobiście. — Recenzenci prasy amerykańskiej krytykują bardzo ostro Williama Seabrooka z powodu wydanej przezeń książki, stwierdzając, iż jest on jedynym „białym człowiekiem", który dobrowolnie z pobudek naukowych stał się ludożercą.

RZECZY CIEKAWE.

Z świata kamery...

Aparat fotograficzny, to naprawdę przyjemna, niezwykle przyjemna rzecz!... Nosisz sobie małego djabełka w kieszeni marynarki, bierzesz ze sobą do plecaka na wycieczkę, w stosownej chwili wydostajesz, jednym nieznacznym naciskiem rozkładasz i... cyk!... Zdjęcie gotowe... Chwila utrwalona nazawsze, pamiątka na całe życie... Ci, którzy wiedzą, czem jest wspomnienie, miłe wspomnienie z minionych, jak bańka mydlana chwil życia, ci zrozumią, jaką wielką przyjemność sprawia fotografowanie! To też sztuka fotograficzna rozwinęła się i udoskonaliła tak w przeciągu kilkunastu ostatnich lat, że dzisiaj jest już prawie u swego szczytu. Dawniej istnieli tylko zwykli amatorowie lub zwykli zawodowcy, dzisiaj w tej dziedzinie mamy znakomitych mistrzów, artystów-fotografów... Taki Jan Bułhak, twórca szeregu przepięknych albumów z ziemi naszej, a zwłaszcza województwa wileńskiego, to nietylko fotograf-artysta, ale także poeta kamery!... Z jego pracowni wychodzą przepiękne zdjęcia polskiego krajobrazu, pełne niewypowiedzianego czaru i swoistego nastroju, że czasem wierzyć się nie chce, że to dzieło nie malarza, ale fotografa!... On to także przyczynił się do utworzenia katedry dla artystów-fotografów na uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, gdzie sam z zapałem od szeregu lat wykłada i propaguje ulubioną swoją sztukę i kształci młodych artystów...

A któż z ludzi czytających nie zna takich znakomitych, posiadających już swoją „markę sławy", nazwisk, spotykanych codziennie na łamach naszych dzienników, a zwłaszcza tygodników ilustrowanych, jak: Ryś, Dobrzański, Londoński, Szwedo i cały szereg innych?... Codziennie spotyka się ich podpisy pod zdjęciami w prasie polskiej... i podziwia niejednokrotnie ich umiejętność i talent... Tak! talent! Bo, ażeby fotografować dobrze i robić piękne zdjęcia można być zwykłym śmiertelnikiem, lecz, żeby tworzyć obrazy i kompozycje na różne tematy życia zapomocą kliszy fotograficznej trzeba mieć talent taksamo, jak w dziedzinie literatury, poezji, malarstwa czy muzyki!...

Trzeba być od czułą opieką Muz, bogiń sztuki, bo inaczej ani rusz!... *Jacek Orlik.*

Zamieszczając artykulik p. Orlika i nadesłane przez niego obrazki, zaznaczamy, że są one sporządzone przez dowcipnego amatora-fotografa, wywołując w widzu złudzenie, jakoby to było zdjęcie naturalne. A przecież natychmiast każdy spostrzeże, że jest to rzeczą niemożliwą, aby np. ktoś sam sobie głowę odcinał, jak to przedstawia właśnie jedna z ilustracyj. Złudzenie polega na wywołaniu z dwóch różnych klisz jednej fotografji. Trzeba tylko bardzo uważać, aby całość dobrze się łączyła, by wywołać tem większe złudzenie.

Nieraz można też widzieć fotografję człowieka znajomego, na której na dwóch niewielkich nogach spoczywa olbrzymia głowa tego samego człowieka. Fotografja taka polega na tem, że fotograf utrwala na jednej kliszy nogi owego człowieka z dalekiej odległości, zaś na drugiej głowę, zdjętą z bardzo bliska. Następnie obydwie klisze łączy się ze sobą zręcznie tak, aby głowa spoczywała tuż na nogach i takie połączenie przenosi się na papier. Trzeba jedynie uważać, aby miejsca, gdzie dwie oddzielne fotografje stykają się ze sobą, tworzyły jednakowe tło, aby widz nie mógł zauważyć owego sztucznego połączenia.





Tym sposobem możemy mieć np. kościół Marjacki w Krakowie na dachu wiejskiej lepianki, albo cały Wawel na własnej głowie. Możemy też wychodować na naszych ramionach olbrzymie drzewa, a nawet na języku zbudować sobie pałac. Łączenie takie dwóch fotografij jest bardzo żmudne i trudne, ale gdy się uda, może sprawić widzom wiele wesołości.

Tybetańskie małżeństwa.

Tybetanka wychodzi zamąż już w 18 roku życia. Dziewczęta, którym nie udało się „złapać" męża, udają się do klasztoru, lub zarabiają na życie... żebraniną.

O zamążpójściu Tybetanki decydują nie rodzice, lecz bracia. Tybet pod pewnym względem dawno już przelicytował postęp Zachodu. Nikt tam nie żeni się, ani wychodzi zamąż na całe życie. Współżycie małżonków trwa dotąd, dopóki chcą tego oboje. Związek może być zerwany nawet po kilku miesiącach współżycia. Zazwyczaj małżonkowie rozchodzą się już po kilku latach, choć stanowisko kobiety zamężnej w Tybecie cieszy się ogólnem poważaniem.

W okręgu Kuku-Nor jest zwyczaj dotychczas, że pannę porywa się, ale za porwanie... trzeba płacić, ceny wahają się od 7 jaków (wołów), 10 koni do kilkuset owiec i kilkudziesięciu koni.

Wśród mieszkańców wyżyny tybetańskiej panuje dotychczas polyandrja t. j. żona może mieć po kilku mężów. Podczas ślubu młoda małżonka otrzymuje dary pieniężne od swego wybranego i koleżanek. W umowie ślubnej pisze się wyraźnie, że oprócz małżonka prawa do żony mają jeszcze bracia pana młodego, przyczem imiona tych braci wypisuje się w akcie ślubnym.

Dzieci z takiego małżeństwa należą jednak do małżonka. Mówią one do małżonka „ojcze", a do jego braci „wuju". Jeżeli małżeństwo jest bezdzietne, to może być zerwane i zawarte nowe. I w tym wypadku bracia zachowują wszystkie swoje prawa. Dzieci z drugiego małżeństwa nazywają pierwszą małżonkę „babciu", a dopiero drugą małżonkę „mamo".

Różnica pomiędzy małżonkami w Tybecie a małżonkami w Europie jest przedewszystkiem ta, że w Tybecie nie znają scen zazdrości, tragedyj wypływających z niewierności żon i t. d. Zresztą jak opisują podróżnicy, mąż w Tybecie jest jeszcze bardziej pod pantoflem żony, niż w Europie.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Marja Waller** w Rz.: Początek powieści bardzo dobry, o ile i ciąg dalszy będzie również tak zajmujący, drukowalibyśmy ją natychmiast po ukończeniu „Cecory". Aby jednak powziąć stanowczą decyzję, musimy przedtem znać całość. — **Komendant Mruk** w S.: Fabuła powieści p. t. „Szum nadciętych drzew" jest zajmująca, styl dobry, ale treść nieodpowiednia dla „Roli". Jeden rozdział np. ośmiesza Duchowieństwo, to ani słuszne, ani etyczne. Gdyby powieść powyższą chciał Pan gdziekolwiek drukować, należałoby to zmienić, lub usunąć. W innych rozdziałach znajdują się opisy, wykraczające przeciw przyzwoitości, co również nie pozwala na umieszczenie jej w „Roli". Inne utwory prozą pójdą w miarę miejsca. Co do wierszy, to gdy znajdę więcej czasu, to je wyszukam i zwrócę. Wartałoby je wydać w oddzielnym zbiorku, jak również i prozę, bo wszystko pisane jest z dużym talentem. Łączymy serdeczne pozdrowienia i prosimy o dalszą pamięć. — **Władysław Sowiźrał** w J.: W miarę miejsca zamieścimy. — **Jan Kiermasz** w J.: Wierszyki napisane z talentem. Jeden z nich p. t. „Ojczyzno moja" przeznaczamy do druku, drugiego nie, gdyż na temat „Smutno mi Boże" napisał wspaniały utwór Juljusz Słowacki, któremu nikt nie dorówna. — **Wincenty Zoła** w Z.: Zgadzamy się zupełnie z Panem, że należałoby unikać przy Chrzcie świętym imion obcych, bo brzmi to nawet cudacznie np. Zygryd Nalepa lub Alfred Kapusta. Natomiast nie możemy żądać nadawania imion słowiańskich, gdyż to jest niedopuszczalne. Nie było bowiem żadnego świętego Nowomira, Radosława i t. p. Jeżeli nawet kapłan przy Chrzcie św. nadaje imię np. Wanda, Mieczysław i t. p., to nigdy nie nada jednego imienia, ale zawsze daje drugie, które jest właściwie dopiero imieniem chrzestnem. — **Józef Burda** w Ł.: Rzeczywiście przy podaniu autorów zagadek przestawiono przez pomyłkę w drukarni nazwiska. — **Kazimierz Żurek** w M.: „Wiosenna noc" posiada styl bardzo ładny, ale treść zupełnie pospolita; brak w niej fabuły powieściowej, a choćby nowelistycznej. — **Antoni Kurek** w B.: „Tragedję matki", gdy miejsce pozwoli, zamieścimy. Wierszyk z początku zupełnie dobry, przy końcu jednak utyka i psuje zupełnie całość. — **Jan Struś** w K.: Za miłe dla nas słowa uznania serdecznie dziękujemy. Robimy, co możemy, aby czytelników zadowolić. — **Tomasz Smalara** w S.: Przy wywiadach musi Pan podać jaki był ten regiment: piechoty, artylerji, Landwery czy Landszturmu? Adres jednego z wymienionych już Panu wskazujemy: Józef Biedroń, Przyszowa 47, poczta Limanowa, a ten może wskazać Panu innych z pow. limanowskiego. — **W. Antosiewicz** w J.: Za przysługę dla „Roli" serdecznie dziękujemy. Rzeczywiście Panu jako pierwszemu prenumeratorowi „Roli" w Józefówce zawdzięczamy, że dziś tam „Rolę" pobiera czterech. Polecamy się nadal. Cześć!

Zagadki do nagrody.

1. Konikówka.

(Ułożył Kula W. z M. K.).

Ruchem konika szachowego odczytać sentencje Krasickiego.

dać	go	to	dzy	że	mą
się	mil	na	dze	na	mą
na	wia	przy	by	pi	nia
czał	głu	co	zda	się	mu
po	da	nie	głu	przy	go
pie	gdy	krza	ro	rzekł	zda
wę	od	tał	bar	me	na
w	py	dług	się	zum	nia
	py	raz	ta	dzjei	

2. Szarada.

(Ułożył Kula W. z M. K.).

I.

Pierwsze z wiosną płyną rzeką,
Pierwsze drugi każdy dom być musi,
Bo tylko dlatego, by stać czas długi.
Przez drugie do ciebie można gdyś mały,
Znów trzecie to litera znana w alfabecie.
Całość chociaż bardzo wiele omówiła,
Nic, jednak do dzisiaj sama nie zrobiła.

II.

Pierwsza płynie we włoskiej krainie,
Gdy ci coś dolega bierzesz na pierwsze [trzecie,
Pierwsze trzecie czwarte zawsze się to [dzieje,
Kiedy noga boli lub gdy ktoś kuleje,
Każdy zegarek zawsze trzecie czwarte.
Całość rzecz wypaczona, lecz mądra z za- [sady,
Nie każdy z nią dzisiaj da sobie rady.

3. Zagadka literowa.

(Ułożył Józef Górecki z K.).

Pierwszą drugą ma ją podkomorzy,
Drugą trzecią to Warszawa morzy,
Czwartą piątą ma je kalcyt przecie,
A trzy ostatnie każdy zysk ma w świecie.

A gdy zagadkę odgadniesz miły czytelniku,
To całość Ci da za to nagród bez liku.

4. Logogryf.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Odwiedziny.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Głupiec inaczej.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Przyprawa kuchenna.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto we Włoszech.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Pieniądze wspak.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Łączka w lesie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Mówca inaczej.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto polskie.

Litery początkowe czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko znanego poety.

5. Bilet wizytowy.

(Ułożył Kula W. z M. K.).

Anzelm Skidł
Krynica

Odczytać zawód tej osoby.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 22 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 18 „Roli": 1. Logogryf: Obrona Częstochowy. 2. Łamigłówka: Gdy w kwietniu grzmot się głosi, to błogosławieństwo ludziom przynosi. 3. Zagadka literowa: Grażyna. 4. Szarada: Gramatyka. 5. Konikówka: Znać, że się człowiek nie na rozkosz rodzi, bo z płaczem na ten nędzny świat przychodzi.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Wincenty Kula z M. K., Władysław Gąsienica z Z., Józef Cieplik z K., Józef Topolski z B., Witold Hein z K., Jan Struś z K., Jan Gara z W., Feliks Popielarczyk z S., Juljan Szymonik z Rz., Leopold Wołek z Rz., Józef Burda z Ł., Teofil Burman z K., Wojciech Lorenc z Ł., Zbigniew Pelc z Ł., Józef Górecki z K., Krystyna Górecka z K., Janina Pragłowska z Z., Fischer Tomasz z St. S.

Nagrody wylosowali pp.: Janina Pragłowska z Z. i Józef Burda z Ł.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 8 maja b. r.

Pszenica	32·00—32·50	Słoma długa	5·50—6·50
Żyto .	26·50—27·50	Ziemniaki stoł.	10·00—12·00
Owies . .	30·00—32·00	Koniczyna na-	
Jęczmień .	29·00—30·00	sienn. czer.	290·00—320·00
Fasola biała	40·00—44·00	Mąka żytnia	42·50—43·00
Groch zwyk.	00·00—00·00	Mąka pszen.	55·00—57·00
Siano słodk.	15·00—16·00	Otręby pszen.	22·00—00·00
Łubin żółty	36·00—37·00	Otręby żytnie	22·00—00·00
Koniczpastew.	18·00—20·00	Mąka czerw.	25·00—00·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 8 maja b. r.
Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·10 do 1·22 zł.	Jałownik	od 1·14 do 1·25 zł.
Woły . .	od 1·19 do 1·30 zł.	Cielęta .	od 1·20 do 1·30 zł.
Krowy .	od 0·95 do 1·12 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·30 do 1·40 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·65 do 1,75